

*Niezwykłe przeżycia  
zwykłych ludzi*

*Wspomnienia z okresu  
drugiej wojny światowej  
(1939 – 1945)*

## Przedmowa

Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby opisać przeżycia mojej rodziny czy też moje osobiste przeżycia z tego okresu i chyba nigdy bym się sam na to nie zdobył. Bardzo często, szczególnie przy okazjach różnych drastycznych wydarzeń na świecie, opowiadam swoim wnuczkom o różnych przykrych wydarzeniach naszej rodziny, jakie przeżyliśmy w okresie drugiej wojny światowej. Czasami nie bardzo chcę w te opowiadania uwierzyć, że tak naprawdę było. Jednak tak wiele i tak przykrych wydarzeń przeżyłem, że nie miałem powodu do zmyślenia tych wydarzeń, żeby zaspokoić ciekawość czy zainteresować słuchaczy lub czytelnika po opisanu tych wspomnień. To właśnie wnuczka mnie nakłoniła do opisanie tych wspomnień. Oczywiście mam już prawie osiemdziesiąt lat i wiele się zatarło w mojej pamięci, jednak niektóre wydarzenia tak głęboko się w niej wryły, że chyba nigdy nie będą zapomniane. Na długo wystarczą, aby przywołać atmosferę tamtych jakże odległych, mi jednak zawsze bliskich wydarzeń. Niektóre być może i na czytelniku wywrą wrażenie i pozwolą na refleksję, do czego jest zdolne zło panujące na ziemi i czy kiedyś być może zostanie zastąpione dobrem, a może wzbudzi takie pragnienie.

### Mała prośba od autora!

Zapewne w tym opisie jest użyte mnóstwo nietypowych słów, także budowa zdań jest bardzo nietypowa, jak na dzisiejsze czasy, a wiem, że na pewno zechce ktoś przenieść to pismo na inne podłoże, więc prosiłbym nie zmieniać tego stylu. Ani słów, ani zdań, bo w nich pozostaje duch tych czasów. Nie chodzi tylko o poprawne opisanie wydarzeń, ale o oddanie ducha i wpływu tych wydarzeń. A wydaje mi się, że tym stylem, choć częściowo udało mi się to osiągnąć. Przy przepisywaniu na pewno należy usunąć błędy ortograficzne, których na pewno jest zatrzęsienie, może gdzieś przenieść interpunkcję, bo też się na tym nie znam. Nie naruszać jednak nic więcej, za co z góry dziękuję.

Z przyjemnością,  
dziadzio Jerzy

## Wstęp

Trudno byłoby opisać te wspomnienia bez choćby krótkiego wspomnienia o moich rodzicach i rodzeństwie, a także o niektórych wydarzeniach i sprawach sprzed okresu drugiej wojny światowej, które często miały bezpośredni wpływ albo choćby związek z wydarzeniami z czasów wojny. W całym tym moim opisie nie jestem w stanie operować żadnymi dokładnymi datami, po prostu nie pamiętam, nigdy nie przykładałem do tego uwagi.

Rodzice moi wywodzili się z biednych, wielodzietnych rodzin z okolic Łańcuta. Ze względu na duże przeludnienie w tej okolicy dziadkowie sprzedali swoje skromne posiadłości i wyjechali z rodzinami do województwa lubelskiego w okolice Tomaszowa Lubelskiego. W tym czasie była w tej miejscowości parcelacja gruntów dworskich, pewien dziedzic zbankrutował i dziadkowie bardzo tanio kupili dość duże działki ziemi. Zamiana ta była na tyle korzystna, że dziadzio ze strony mojego taty za sprzedane 2 morgi ziemi koło Łańcuta, kupił 24 morgi koło Tomaszowa. Było już czym obdzielić rodzinę. Podobnie też było i ze strony mamy. Rodzice pobrali się w drugiej połowie lat dwudziestych. (Ja będę opuszczał dwie cyfry z lat, będę używał dwóch ostatnich dla ułatwienia.) Mieli trzech synów: najstarszy urodził się w roku 28, ja w roku 30, a najmłodszy w roku 35. W miarę możliwości urządzili się na swojej działce ziemi i żyli sobie jak wielu innych osadników. Rodzina nasza różniła się jednak od innych rodzin, a to z dwóch powodów. Pierwszym powodem było to, że moi rodzice zapoznali się z naukami pewnej grupy religijnej tzw. badaczy Pisma Świętego, czytali Pismo Święte, różne podręczniki do Biblii, przestali chodzić do kościoła katolickiego, zaczęli chodzić na inną wioskę na nabożeństwa do zboru wyżej wymienionej grupy i byli uważani za heretyków, innowierców. Z tego też powodu pojawiały się różne trudności i w pokrewnej rodzinie, i z sąsiadami, po prostu byliśmy inni. Drugim powodem, że nasza rodzina różniła się trochę od innych było to, że moja mama jeszcze w panieństwie przebywała kilka lat w dużym mieście, we Lwowie, jako służąca. Służyła u kilku Państwa, w bardzo różnych środowiskach i tym samym zapozna-

ła się z jakże innym życiem i innymi warunkami jak na wsi. Mama bardzo wiele nauczyła się zachowania między ludźmi, dobrego gotowania, utrzymania domu i wielu, wielu bardzo dobrych rzeczy. I chociaż mama powróciła na stałe na wieś, zabrała jednak ze sobą cały bagaż zdobytych wiadomości. Ponieważ rodzice zaczęli swoje wspólne życie od podstaw, na nowej ziemi tworzyli gospodarstwo i rodzinę, to mama od razu inaczej podchodziła do wielu spraw. Mieszkanie było bardziej nowoczesnie urządzone, zawsze było czyste, dzieci były zadbane, czysto ubrane. Mama też zawsze była ładnie ubrana. Starła się być zawsze miła i uśmiechnięta, lubiła komuś coś doradzić, pomóc w potrzebie, toteż przez wielu sąsiadów i w ogóle na wsi była lubiana. Jediną niedobłą stroną było dla ludzi to, że rodzice byli innej wiary. Najbardziej przyczyniał się ksiądz do takiej nieprzyjemnej atmosfery wokół naszej rodziny, co było bardzo przykre.

Mój tato też był bardzo pracowity, życie go nie pieściło, w bardzo młodym wieku poszedł na służbę. Służył u wielu dobrych gospodarzy, toteż poznał dobrze tajniki uprawy roli, hodowli bydła i inne, co było mu bardzo pomocne w prowadzeniu własnego gospodarstwa.

Trudno byłoby opisywać wszystkie szczegóły, które znam z opowiadania rodziców czy takie które już sam zapamiętałem, ale niektóre nie sposób pominąć. Kiedy mój starszy braciszek miał dwa i pół roku, ja miałem wtedy półtora roku, miała miejsce pierwsza i chyba najbardziej trudna do zniesienia tragedia w naszej rodzinie. Braciszek zachorował na dość często występującą w tym czasie u dzieci chorobę "koklusz". Niestety o lekarzu nie było co marzyć, rodzice byli bezradni, żadne domowe sposoby leczenia nie były skuteczne i po którymś z kolei ataku kaszlu braciszek zmarł. Było to dla rodziców straszne przeżycie. Ten wielki ból został jeszcze spotęgowany innym bezprecedensowym wydarzeniem.

Cmentarz w tej miejscowości podlegał parafii rzymsko-katolickiej, chcąc dokonać pochówku trzeba było uzgodnić z księdzem. Tato poszedł do księdza z prośbą o pozwolenie na pochowanie zmarłego synka. Został bardzo chłodno przyjęty. Ksiądz w bardzo ordynarny sposób powiedział: „Nie braliście ślubu w kościele, dziecko nie zostało ochrzczone, wy nie chodzicie do kościoła, to takiego bękarta możecie sobie zakopać w ogrodzie, ja nie pozwolę pochować na naszym cmentarzu.” Tato zapłakał i po chwili powiedział: „Z przyjemnością to zrobię. Mam duży ogród, zrobię ładny grób, nie będziemy musieli chodzić daleko na cmentarz. Muszę jednak na to mieć pozwolenie, ale to już nie od księdza.” Ksiądz bardzo się zdenerwował i kazał tacie wyjść. Tato podziękował księdzu za radę i wyszedł. W pobliżu plebani była gmina i posterunek policji więc tato prosto z plebani udał się na posterunek. Komendant przyjął tatę bardzo grzecznie, zapytał w jakiej sprawie, po przedstawieniu rozmowy z księdzem, tato zapytał gdzie można otrzymać takie pozwolenie. Komendant bardzo się zirytował i odpowiedział: „To niemożliwe, tak nie wolno, chodźmy do gminy.” W gminie wójt natychmiast wezwał księdza, po krótkiej rozmowie ksiądz powiedział: „No dobrze, możecie pochować na cmentarzu”, wskazał wolne miejsce i wyszedł. Pogrzeb odbył się w naszym obrządku, wszystko przeminęło, tylko ból w sercu rodziców został na długo. Oczywiście ja tego nie mogłem zapamiętać, byłem za mały, a to co wspominam, znam tylko z opowiadania rodziców.

Życie potoczyło się dalej. Gdy już miałem pięć lat, miało miejsce wydarzenie, które już dobrze pamiętam. W roku 1935 pewnego późnego wieczoru urodził się mój najmłodszy braciszek. Już spałem, obudził mnie głośny płacz małego dziecka. Zerwałem się, rozejrzałem się w kierunku płaczu i zapytałem: „Co to za krzyki? Skąd to dziecko?” Mama leżała w łóżku i z uśmiechem powiedziała: „Nie bój się synku, to bocian przyniósł ci braciszka.” „Którędy?” - zapytałem. „Przez okno” - odpowiedziała mama. Spojrzałem w stronę okna, było szeroko otwarte, bo mama była osłabiona, brakowało jej powietrza. Zacząłem krzyczeć co sił: „Zamknijcie to okno, bo bocian jeszcze jedno wrzuci! Ja nie chcę! Tego jednego nie mogę przesłuchać.” Jakoś to przeżyłem, później już byłem dumny, że mam braciszka. Bardzo szybko jednak zorientowałem się, że do tej pory to ja byłem na pierwszym planie, a teraz braciszek zajął moje miejsce i nie bardzo mi się to podobało. Pewnego razu przyglądałem się jak mama przewijała braciszka, oczywiście dochodziły dość nieprzyjemne zapachy i wtedy dość poważnie powiedziałem: „Nie dość, że to bez przerwy płacze, to jeszcze smrodzi w mieszkaniu, chyba muszę sobie pójść w świat.” Mama tak często mówiła, jak jej bardzo dokuczylem, że pójdzie sobie w świat, nigdy jednak tego nie zrobiła, a ja nie bardzo wiedziałem jak to zrobić więc pozostałem w domu, do wszystkiego się przyzwyczaiłem i już było wszystko dobrze.

W roku 37 poszedłem do szkoły. W szkole znowu zaczęły się przepychanki o religię, ale dobrze się uczyłem to nauczyciele byli po mojej stronie i nie było najgorzej. Jeżeli chodzi o koleżeństwo w szkole to raczej trzymałem się z żydowskimi dziećmi, bo ja im nie dokuczałem ani one mnie, a też uczyły się dobrze. Było ich kilkoro w klasie. Często stawałem w ich obronie jak chrześcijańscy chłopcy im dokuczali. I tak pierwszą i drugą klasę ukończyłem z bardzo dobrymi ocenami i mogliśmy nadal żyć normalnie gdyby nie zmiana sytuacji na świecie, o jakiej właśnie w tych wspomnieniach chcę opisać.

### **Rok 1939** **Wybuch drugiej wojny światowej**

Zima była dość sroga, było dużo śniegu, ale na ogół była znośna. Wiosna za to była bardzo korzystna, bo śniegi bardzo szybko stopniały, a ponieważ było bardzo dużo śniegu, to ziemia nie była zmarznięta, wody ze śniegu szybko wsiąkły w ziemię, nie było żadnych podtopień. Ziemia za to miała duże zapasy wody, a wiosna była bardzo ciepła, co sprzyjało

rozwojowi roślinności. Toteż rok 39 był nad podziw urodzajny, całkiem jak lata urodzaju w Egipcie za czasów Józefa, kiedy gromadził zapasy na ciężkie lata. Było dużo owoców, mieliśmy kilka uli pszczół, które przyniosły niespotykane ilości miodu. Przede wszystkim urodzaj zbóż był niespotykany. Jednak chociaż widoki dookoła były bardzo piękne, drzewa obwieszane owocami, krzewy oblepione jagodami, cudowne łąny zbóż, wszędzie zielone trawy, jednak w powietrzu wisiał jakiś niepokój.

Pewnego dnia, gdy była piękna pogoda, pojawił się na niebie samolot z polską szachownicą, co było w tych czasach rzadkością. Samolot ten wykonał kilka szybkich manewrów, pozostawiając na niebie dobrze czytelny napis „Erdal”, to była reklama pasty do butów pod nazwą „Erdal”. Na drugi dzień w szkole ktoś wyjaśnił, że to był pokaz sprawności polskich pilotów, że być może będzie wojna, ale nasi piloci są dobrze wyszkoleni i dadzą sobie radę z każdym wrogiem. Wtedy zaleciał lekki zapach prawdziwej wojny. Już wcześniej w 37 i 38 roku były pogłoski, że Niemcy przygotowują się do wojny, ale nikt nic konkretnego nie wiedział. Mieliśmy radio słuchawkowe na kryształek, bez żadnego zasilania czy wzmacniacza. Oczywiście niewiele można było usłyszeć, ale niektórych wiadomości, jak była dobra pogoda, można było zasięgnąć. Coraz częściej była mowa o wojnie.

Pewnego razu jeszcze przed wakacjami, pojawił się nasz kierownik szkoły w mundurze oficerskim, z ozdobioną szablą oficerską, był w randze porucznika. Powiedział, że jest żołnierzem i jeżeli będzie taka potrzeba pójdzie bronić Ojczyzny, żeby się nie bać, nasza armia nie zezwoli na żadne zakusy wroga. Jeszcze w 38 roku zbierano w szkole pieniądze na zakup ciężkiego karabinu maszynowego dla naszego miasta powiatowego Tomaszowa Lubelskiego, tam stacjonowała jednostka wojskowa. Bardzo krótko po rozmowie z naszym kierownikiem szkoły przyjechało do szkoły kilku żołnierzy z jednym oficerem. Byli to żołnierze z tej jednostki z Tomaszowa Lubelskiego. W dużej sali zebrani byli uczniowie ze wszystkich klas. Oficer miał przemówienie, w pierwszych słowach podziękował za ofiarowane pieniądze od szkoły. Powiedział, że CKM został zakupiony i oddany jednostce. Potem tłumaczył, że wojna nie musi być, ale że na wszystko trzeba być przygotowanym. Następnie był pokaz, jak posługiwać się maską przeciwgazową, pouczano jak i gdzie najbezpieczniej schronić się w czasie frontu i wiele innych pokazów i informacji związanych z działaniami wojennymi. Na koniec tych pogadarek jeden z żołnierzy wystąpił na środek sali, kazał wszystkim odsunąć się jak najdalej od niego, sam położył sobie na hełmie, gdyż miał hełm na głowie, granat tzw. zaczepny, odbezpieczył go, spokojnie poczekał chwilę i nastąpił straszny wybuch. Ten granat był taki, że nie wyrządził nikomu żadnej krzywdy ani żołnierzowi ani obecnym, za to pozwolił usłyszeć co to znaczy wojna oraz powąchać zapach prawdziwego prochu. A że to było w sali zamkniętej to efekt był przerażający. Po chwili, gdy się wszyscy trochę uspokoili, oficer wyszedł na środek sali i powiedział: „Widzicie więc, że to wcale nie takie straszne, tylko trzeba mieć taką odwagę jak ten żołnierz, co rozwalił sobie granat na głowie, a wszystko będzie dobrze” i uśmiechnął się. Dodał: „Dziękuję za uwagę i bądźcie dobrej myśli”. Żołnierze i oficer zaszalutowali i przy wyjściu oficer wystrzelił z rewolweru nabojem z gazem łzawiącym. Wszyscy się popłakali, żołnierze wyszli, oficer zatrzymał się chwilę, też zapłakał i wyszedł. Do tej pory to wydarzenie stoi mi przed oczami.

Wszystkie wcześniejsze pogłoski o wojnie zostały potwierdzone tym wydarzeniem. W całej okolicy zapanowała atmosfera wojenna. Ludzie po wsiach schodzili się grupkami, dyskutowali jak to będzie, co się będzie działo, ale najważniejszym pytaniem było, kiedy to nastąpi.

Życie jednak toczyło się dalej. Ponieważ całe nasze okolice były typowo rolnicze, a jak wspomniałem wcześniej rok był nad zwyczaj urodzajny, toteż rolnicy pod wrażeniem nadciągającej wojny, zaczęli ze zwiększoną energią zbierać plony, robić zapasy, jak to się często mówi, na czarną godzinę, na w razie czego. Co przebieglejsi robili różne schowki w ziemi czy też w inny sposób. Niektóre osoby starsze pamiętające dobrze pierwszą wojnę

światową dobrze wiedziały, że kto miał zapasy żywności, temu było łatwiej przeżyć, a kto nie miał zapasów, to często przymierał głodem. Taka sama atmosfera panowała i w naszej rodzinie. U nas też urodzaje były obfite, ja miałem dopiero dziewięć lat, toteż niewiele mogłem pomóc. Oczywiście pod presją tej atmosfery wojennej chciałem dużo pomagać, toteż gdy rodzice budzili mnie rano, to bez żadnego oporu, jakby rozumiejąc potrzebę chwili wstawiałem do pasienia krów, gdyż rodzice zajmowali się sprzątaniami plonów.

W tym roku 39 u nas w gospodarce nastąpiły duże zmiany w niektórych pracach. W poprzednie lata zboże zżęte przeważnie sierpem albo kosą częściowo było młócone zaraz po zbiorze, oczywiście cepami, a część zboża była układana w stodole i w zimie na rozgrzewkę rodzice spokojnie, bez pośpiechu młócili resztę zboża, też cepami. Na pewno w obecnych czasach moje wnuki nie bardzo są w stanie wyobrazić sobie taki cep. Może króciutko na jego temat. Po prostu były to dwa kije, jeden krótszy z ciężkiego, twardego drzewa, nazywał się „bijak”. Drugi kij prawie drugie tyle dłuższy od pierwszego, dużo cieńszy z drzewa też mocnego ale lżejszego, najczęściej była to leszczyna nazywał się „dierzak” (od wyrazu dierzyc coś w rękę). Te dwa kije połączone były ze sobą w cieńszych końcach skórzanymi uchwytami. Podnosząc bijak w górę tym dierzakiem, a potem szybkim ruchem w dół uderzano bijakiem w rozścielone zboże na klepisku i tym uderzeniem wytrącało się ziarno z kłosów. To się nazywało: młocka we dwa kije. Teraz mówi się: „We dwa kije tego, co za dużo pije”, ale czy to skuteczne, nie wiem. Choć było to tak proste urządzenie jednak trzeba było umieć się nim posługiwać, bo ten bijak bardzo często dotykał palców zamiast zboża i to bardzo boleśnie. Sądzę, że już nigdy do tego nie powrócimy.

Ktoś czytający te wspomnienia może z powodzeniem powiedzieć, że te wspomnienia musiał pisać naprawdę jakiś przysłowiowy „cep”, że aż opisuje cepy. Przecież to taka drobnostka, nie zasługuje na aż taką uwagę. Być może, ale ja gdybym miał klepisko, dorodne zboże i cep, i oczywiście trochę więcej siły, to bym sobie z przyjemnością powywił cepem. To wszystko jednak jest już nierealne więc mogę tylko powywiłać sobie długopisem opisując ten nieszczęsny cep. Dlatego proszę o wyrozumiałość i żeby nie rozbić ze mnie takiego „cepa”.

Już w roku 38 większość zboża została wymłócona taką maszyną nazywaną młockarnią ręczną, gdyż napędzała ją rękami czterech silnych mężczyzn, była to bardzo ciężka praca, ale omloty przebiegały szybko. To co całą zimę we dwoje trzeba było klepać cepem, to za jeden dzień zostało wymłócone. Pozostało tylko żyto na cep, bo rozchodziło się o prostą słomę na poszycie dachu. Niestety tato musiał potem przez kilka dni odrabiać ludzi, którzy u nas pracowali. Nie byliśmy jeszcze na tyle zamożni, żeby zapłacić robotnikom. Natomiast w roku 39, może pod wpływem tej niepewności co do wojny, rodzice wynajęli młockarnię napędzaną kieratem ciągniętym przez konie, już ludzie nie musieli się męczyć, a tato nie musiał odrabiać. Toteż w niespełna jeden dzień wszystko zboże zostało wymłócone. Ten pośpiech wynikał też z tego, że nie wiadomo było kiedy wojna może wybuchnąć, a chciano też zapasy zbiorów odpowiednio ulokować czy zabezpieczyć na wypadek wojny, co w końcu okazało się bardzo słuszne. Tato i mama należeli też do tych zapobiegliwych. Tato zbił z desek dużą skrzynię mieszczącą około 500 kg zboża, pszenicy, wykopał duży dół w ziemi, oczywiście nocą, po ciemku, w tajemnicy przed sąsiadami, żeby przy jakiejś okazji nie wykradli. Zabezpieczył warstwą plew przed wilgocią od spodu, wpuścił skrzynię do dołu, nasypał pełno dorodnej pszenicy, zabezpieczył od wilgoci boki skrzyni prostą słomą, nakrył wiekiem, też zabezpieczył i zasypał ziemią, dość grubą warstwą. Na tym miejscu postawił dość spory stożek słomy. Dlaczego stożek słomy? Na to pytanie odpowiedź okaże się później. Właściwie na polu pozostały jeszcze tylko rośliny okopowe, ziemniaki, buraki, marchew i inne.

Coraz częściej pojawiał się na niebie samolot lecący w tą czy inną stronę, czuło się, że coś się dzieje, tylko nie wiadomo było co i gdzie. Z tego kryształkowego radia niewiele

można było wysłuchać, informacje były sprzeczne, były duże zakłócenia, przerwy w nadawaniu. Ludzie byli całkowicie zdezorientowani. Gorączka zniwna już się skończyła, nastał czas bezczynnego wyczekiwania, a nie do końca było wiadomo na co. Pogoda była wyjątkowo piękna, aż się nie chciało wierzyć, że może ją coś zakłócić.

No i wreszcie stało się. Pierwszego września 39 roku w rannym komunikacie oficjalnie podano, że Niemcy napadli na Polskę. My mieszkaliśmy na kolonii, dwa i pół kilometra od nas była taka osada stanowiąca centrum okolicy. Tam była gmina, posterunek policji, duża, siedmioklasowa, zbiorcza szkoła, bardzo stary zabytkowy kościółek zbudowany z drzewa modrzewiowego kryty gontem. Szkoła była murowana, dwupiętrowa, jak na owe czasy była bardzo nowoczesna, miała ładną scenę z zapleczem, długą czerwoną kotarę rozsuwaną na dwie strony i niezbyt dużą salę widowiskową. Pamiętam, że na tej scenie, tylko nie pamiętam przy jakiej okazji, recytowałem wiersz. Też nie pamiętam, kto był jego autorem, ale wiersz pamiętam, może zacytuję:

„W nurtach Elby i Salii (chodzi tu o rzeki – Odrę i Nysę)  
I w Dnieprowych wód fali (duża rzeka daleko na Ukrainie)  
Kto te słupy żelazne tam bije? (przedwojenne, polskie granice)  
To Bolesław mąż chrobry  
Ludów swoich pan dobry  
Ale groźny dla zdrajców i wrogi  
Złączył braci Lechitów  
I jak orzeł z błękitów  
Hen, daleko rozciągnął swe drogi”

Duża część mieszkańców tej osady to byli Żydzi, było kilka sklepów różnej branży i wszystkie należały do Żydów. Tam też była poczta i oczywiście jak na urząd pocztowy przystało był telefon i telegraf. Toteż wszystkie konkretne informacje dochodziły z tej placówki. Pomimo wybuchu wojny w szkole lekcje rozpoczęły się z pierwszym września, ja też normalnie zacząłem chodzić do trzeciej klasy. Ludzie byli jedni jakby wystraszeni, pokorni, inni bardziej odważni, albo tylko udawali, że są tacy odważni, wygrażali pięściami i mówili: „My im pokażemy, co potrafimy! Pokażemy im, gdzie raki zimują!” Nawet w szkole pojawili się chłopcy ze szpadami u pasa czy z bagnetami wystruganymi z drewna, gotowi do walki z wrogiem. Szkoła w dużym stopniu była niezawodnym środkiem masowego przekazu. Dlatego, że była najbliższą źródła informacji, a uczniowie wracając do swoich domów, miejscowości, przynosili ze sobą wszelkie informacje i lotem błyskawicy rozpowszechniali po całej okolicy.

Wreszcie przysłała pierwsza złowroga wiadomość, mobilizacja rezerwy do wojska. Na naszej kolonii kilku mężczyzn dostało wezwanie do swoich jednostek w trybie natychmiastowym. I tu pojawiły się pierwsze łzy, płacz żon żegnających mężów odchodzących na wojnę. Kilku mężczyzn odchodzących w jednej grupie zaśpiewali piosenki, jako pierwszy hymn Polski a na koniec:

„Jak to na wojence ładnie  
Kiedy ułan z konia spadnie  
Koledzy go nie żałują  
Jeszcze końmi go stratują”

i odmaszerowali na wojnę. Oczywiście, co przeczorniejsi zabrali ze sobą dość spore zapasy żywności, a inni poszli z gołymi rękami i z myślą, że przecież w jednostce dostaną jeść. Jednak często rzeczywistość była zupełnie inna. Nieco później okazało się, że Niemcy bardzo szybko zniszczyli polskie zaplecze logistyczne, że trudno było marzyć o jedzeniu w wojsku.

Pogoda była nadal bardzo słoneczna, było bardzo sucho. Wszystkie drogi były u nas gruntowe, ludzie jeździli wozami o drewniano – żelaznych kołach, toteż ziemia na drogach była utarta na mąkę. Za każdym przejazdem wozu czy przejściu grupy ludzi albo zwierząt

unosily się tumany kurzu. W kilka dni po wybuchu wojny prawie co dzień pojawialo się jakies nowe wydarzenie. Bardzo wczesnie pojawili się uciekinierzy z zachodniej i centralnej Polski, gdyż Niemcy zbombardowali już wiekszość z duzych miast. Ludzie uciekali na oślep, nie wiedząc dokąd i po co, byle dalej od frontu. Do nas przyszlo małżeństwo w średnim wieku, mężczyzna był ranny w kolano odłamkiem bomby. Opowiadali, że jechali dużym taborem i niemiecki samolot dostrzegł ten tabor i zbombardował tę dużą grupę ludzi. Wielu zginęło, a pozostali rozpierzchli się po najblizszych wioskach pieszo, gdyż wozy zostaly zniszczone. Konie, które nie zginęły pouciekaly i ludzie zostali po prostu bezradni. Którzy byli zdrowi to pół biedy, ale bylo też wiele rannych. Czternaście kilometrów od nas w kierunku zachodnim bylo powiatowe miasto Tomaszów Lubelski. Był tam co prawda dość duży szpital, ale bardzo szybko zapełnil się rannymi, a na domiar złego i to miasto zostalo zbombardowane. Znowu bylo mnóstwo zabitych i rannych. W środku tego miasta byla bardzo już stara i bardzo zwarta zabudowa drewnianych domów, przewaznie zamieszkalych przez Żydów. Niemcy szczególnie byli zainteresowani tym środowiskiem i właśnie tam spadly pierwsze bomby. A że byla to dość duża zabudowa i jak już wczesniej wspomnialem bardzo zwarta i drewniana to po zbombardowaniu powstal olbrzymi požar widoczny w odległości kilkudziesięciu kilometrów, co wywarlo straszne wrażenie na całej okolicy.

Powrócę jednak do naszej zagrody. Mama nasza miała też dość spore zaplecze opatrunkowe. Miała kilka oryginalnych bandazy, gazę opatrunkową, jodynę, spirytus do przemywania ran, wodę utlenioną czy nawet stare wyprane szmaty pościelowe przygotowane do darcia na ewentualne bandaze. Totez kiedy przyszlo to małżeństwo mama zaraz zajela się tą raną. Odwinęła stary opatrunek, okazalo się, że ten opatrunek skladal się z dwóch chusteczek do nosa i duzej chustki z głowy tej kobiety. Odłamek dość głęboko przecial kolano, ale rana nie byla bardzo rozszarpana. Ten pan mowil, że odłamek był widoczny i zostal wyjęty, tak że rana byla pusta. Mama obmyła całą bardzo okrwawioną nogę roztworem ze spirytusem, ranę przepłukala wodą utlenioną, opędzelkowala jodyną, polozyla sterylny opatrunek i obandażowala. Ci ludzie byli z miasta Łodzi, ta pani byla bardzo zdziwiona, że na takiej sobie wiosce otrzymali taką fachową pomoc. Tato zrobil temu panu taką prowizoryczną kulę podpachową, do drugiej ręki palkę leszczynową, także mógł o własnych silach wyjść sobie na podwórko. Następnego dnia znowu przyszli uciekinierzy, tym razem pięciu mężczyzn, dwóch księży katolickich i trzech inżynierów, nie pamiętam w jakiej branży. My już mieliśmy gości wiec przybysze zakwaterowali się u najblizszych sąsiadów. Okazalo się, że ci panowie uciekali przed frontem autem, a że to nie bylo tak jak dzisiaj, że co parę kilometrów jest stacja benzynowa, zabraklo im paliwa i koniec jazdy. Zjechali autem, a raczej zepchnęli je do przydrożnego rowu, żeby nie przeszkadzal na drodze i dalej już szli na piechotę.

Sąsiadka u której zakwaterowali się ci panowie, byla bardzo wierną katoliczką. Bardzo ubolewala nad tym, że my jesteśmy innowiercami. Kiedy dowiedziala się, że ma u siebie dwóch księży, postanowila wykorzystac sytuację. Od razu powiadomila swoich gości, że sąsiedzi są innego wyznania i zaproponowala im, tym księżom, żeby jakimś sposobem spróbowali nas nawrócić na katolicyzm. Byli to ludzie wykształceni, inteligentni więc nie wypadalo im tak bezpośrednio do nas się zwrócić. Tak się jednak zložylo, że nasi sąsiedzi nie mieli studni i po wodę chodzili do nas. Pewnego razu jeden z księży przyszedł z wiadrem po wodę, a przy okazji nieco zapoznac się z nami i może nawiązac jakąś rozmowę. O temat rozmowy nie bylo trudno, gdyż ostatnie wydarzenia sprzyjaly ku temu. Przy studni stala drewniana balia z wodą, duży ceber z wodą dla krów, mama też krzatala się przy studni i chyba coś prala. Ksiądz podchodząc zagadnal: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, mama podniosla głowę, odpowiedziala: „Na wieki wieków”. Ksiądz był trochę zmieszany, ale mama zaraz dodala: „Dzień dobry! Chyba w reszcie poznamy sąsiadujących gości.” „Z przyjemnością” – odpowiedzial już całkiem swobodnie. Mama zagadnela: „Co, gospodyni



wysłała po wodę?” „Nieee – odpowiedział przeciągle – ale już nam wstyd, jest nas pięciu mężczyzn, a kobieta chodzi po wodę dla nas więc postanowiłem wyręczyć gospodynię i przyszedłem, ale nie bardzo wiem jak tej wody nabrać. Oczywiście mama pomogła księdzu naczepać wody, zamienili kilka słów na temat sytuacji jaka zaistniała, ksiądz podziękował i poszedł do sąsiadów. Popołudniu jeszcze raz przyszedli po wodę, ale już we trzech, z dwoma wiadrami, dwóch księży i jeden inżynier. Widocznie ten pierwszy ksiądz uprzedził pozostałych, że z mamą można mądrze porozmawiać, bo przybysze zachowywali się zupełnie swobodnie. Tato też zjawił się koło studni, ubrany w troszkę lepsze ubranie więc też czuł się przy nich swobodniej. Przywitali się, wymienili swoje nazwiska, zaczęli rozmawiać o wszystkim i o niczym, ale ten drugi ksiądz zmienił temat i bezpośrednio zapytał: „Czy to prawda, że państwo nie chodziecie do kościoła, że jesteście innego wyznania? Bo tak mi sąsiadka nadmieniła.” Tato odpowiedział wprost: „Tak, nie chodzimy do kościoła katolickiego, ale czytamy Biblię i chodzimy do innego kościoła, do Badaczy Pisma Świętego. Jesteśmy głęboko wierzącymi chrześcijanami.” Ci panowie widząc zupełną swobodę wypowiedzi taty zaproponowali: „To może byśmy porozmawiali, jaka jest różnica między waszą wiarą a katolicką?” Wreszcie mama wtrąciła się w tę rozmowę i powiedziała: „Słuchajcie panowie, to nie jest miejsce na taką rozmowę. Umówmy się na wieczór, ja postawię dobrą kolację i przy stole, przy herbacie możemy podyskutować. Niech ksiądz weźmie ze sobą swoją Biblię, bo nasza może nie jest prawdziwa, to porównamy i na pewno będzie z tego jakaś korzyść. Tu przy studni to nie pasuje taka rozmowa, jest za poważna jak na takie miejsce.” Ksiądz uśmiechnął się mówiąc: „Biblia jest jedna, nie ma lepszej czy gorszej, najwyżej może być tłumaczenie różne”.

Wszyscy wyrazili zgodę na rozmowę wieczorem. Mama jeszcze dodała, żeby sąsiadka nie przygotowywała kolacji – „kolacja będzie u nas, a sąsiadka ma przyjść razem z wami.” Oczywiście plan został zrealizowany, rozmowa się odbyła, ale jej wyniki wcale nie były takie rewelacyjne jak początkowo przypuszczali goście. Najbardziej była niepokieszona sąsiadka, bo nie udało się nas nawrócić na katolicyzm. Moi rodzice byli dobrze obeznani z Biblią, byli na bieżąco dobrze przygotowani do takich dyskusji i byli w stanie dać odpór wszystkim atakom ze strony pozostałych dyskutantów. Jeden z trzech inżynierów, widocznie też był wierzącym katolikiem, nie mógł się z tym pogodzić, że księża jako nauczyciele kościoła nie potrafili sobie poradzić z prostymi ludźmi. Na drugi dzień nikt nie przyszedł po wodę, nawet sąsiadka poszła do dalszych sąsiadów po wodę. Popołudniu przyszedli jednak ci panowie, pytając czy nie gniewamy się po tej burzliwej rozmowie. Faktycznie chwilami atmosfera była dość napięta. Jeden z inżynierów, ten katolik, siedział przy ścianie pod oknem. W futrynę był wbity mocno gwóźdź, na którym zawieszona była taka pół firanka. Ten człowiek z nerwów ukręcił ten gwóźdź palcami, gwóźdź był wbity tak mocno, że nie dał się wyrwać więc się ukręcił, za co ten pan potem przeproszał. Mama im grzecznie odpowiedziała, że nie ma żadnego powodu do gniewu, że są przyzwyczajeni do takich rozmów, że takie rozmowy tylko nas utwierdzają w naszych przekonaniach. Właściwie to oni przyszli się pożegnać, gdyż na drugi dzień poszukali na wsi jakąś podwodę i odjechali. Jeden z księży na pożegnanie życzył nam błogosławieństwa Bożego i słuch po nich zaginął jak to najczęściej w czas wojny bywa.

Fala uciekinierów przeszła, za to coraz częściej dały się słyszeć dalekie grzmoty ciężkich dział oraz wielkie łuny pożarów dawały znać, że front się przybliżył. Toteż coraz większy strach oblatywał wszystkich mieszkańców okolicy. Z osady wszyscy Żydzi też gdzieś się ulotnili, panowało ogólne zamieszanie. Żydowskie sklepy znikły, polskie jeszcze nie powstały, nie można było nic kupić, kto wcześniej nie zrobił jakiś zapasów soli, cukru, nafty czy zapalek, to już nie było żadnych możliwości. W tym całym zamieszaniu każda noc nie była pewna jutra, a jutro następnej nocy.

Pewnego dnia przeżyliśmy bardzo wzruszające wydarzenie. Zauważyliśmy w odległości kilku kilometrów, że zbliżał się jakiś nieduży oddział wojska. Nasze budynki były

ostatnie z naszej kolonii więc przed nami była duża, zupełnie odsłonięta przestrzeń pól, ale trudno było rozpoznać, co to właściwie było. Teren nasz był dziwnie zabudowany. Nasza kolonia ciągnęła się ze wschodu na zachód, nasze budynki zakończyły ten ciąg. Naprzeciw naszych zabudowań, ale około 300 metrów na południe znowu zaczynał się inny ciąg kilku zabudowań wypchanych na zachód w pola. Ciąg tych zabudowań właśnie nazwany był „wypychówką”. Koło tego ciągu zabudowań przebiegała droga. Droga ta w zachodnią stronę dochodziła do tak zwanego gościńca prowadzącego aż do Tomaszowa Lubelskiego. We wschodnim kierunku droga ta przebiegała przez „wypychówkę”, naprzeciw naszej zagrody skręcała na północ i do naszej zagrody. Na rogu naszego ogrodu było skrzyżowanie i droga ta na północ dalej prowadziła do sąsiedniej wioski, a na wschód przez naszą kolonię aż do osady. Osada ta nazywała się Jarczów koło Tomaszowa Lubelskiego. Dlaczego opisuję tak szczegółowo ten teren? Dlatego, że wiele, a można powiedzieć, że wszystkie wydarzenia związane z frontem, rozgrywały się właśnie w tym zakątku i będę jeszcze często wspominał i tę „wypychówkę” i tę drogę, i gościniec, itd. Mimo to jeszcze muszę dodać, że poziom tego terenu był taki, że począwszy od nas teren wznosił się lekko w górę, a od końca „wypychówki” już stromo wznosił się w górę aż do jej przełomu. To wzniesienie należy do zaznaczonej na mapie Wyżyny Lubelskiej, szczyt tej góry był kilka kilometrów dalej, wynosił 150m n.p.m. Z tego szczytu w czystą pogodę i przez dobrą lornetkę widać było do Lwowa odległego o 100 kilometrów.

Teraz mogę wrócić do wydarzenia, które chciałem opisać. Właśnie z tej góry w stronę „wypychówki” schodził ten mały oddział żołnierzy, o którym na początku wspominałem. Kiedy ta grupa doszła do zabudowań „wypychówki”, to część żołnierzy rozeszła się po tych zabudowaniach, a część poszła w naszą stronę. Ponieważ nie było słyhać, ani widać żadnej agresji ze strony tego oddziału więc domyśliliśmy się, że to jest polski oddział. Zdaliśmy sobie również sprawę, że na pewno będą chcieli żywności i tak też było. Muszę tutaj jeszcze dodać, że gdy wojna już wybuchła, to mama wypiekła dwa duże pieczywa chleba. Mama piekła takie duże bochny chleba o wadze do sześciu kilogramów. Jednorazowo w piecu mieściło się sześć takich bochenków. Mama wspominała, że pamięta z pierwszej wojny światowej, że jak żołnierze wpadali do wioski, to pierwsze prosili o chleb i wodę i dlatego zawsze miała przygotowaną jakąś ilość chleba. Mieliliśmy też bardzo dobrą krowę, toteż mama miała przygotowany zapas zsiadłego mleka w glinianych garnkach, w razie czego zamiast wody. W tym przypadku okazało się to niezbędne. Ci żołnierze dotarli do naszej zagrody, szli bardzo powoli, byli bardzo zmęczeni i w dodatku konie ciągnęły trochę sprzętu wojskowego: jedną niedużą armatkę małego kalibru, jaszczyk z amunicją, dwa ciężkie karabiny maszynowe i jeden pusty kociołek kuchenny. Tato miał taki duży, mocno wyostrzony nóż do krojenia chleba. Kiedy ci ślaniający się na nogach z głodu i zmęczenia żołnierze weszli na podwórko, to pierwsza prośba brzmiała: „Chleba i wody”. Tato z tym ostrym nożem w ręku wyniósł duży bochen chleba i zaczął kroić takie duże pajdy jakie wyszły. Jakiś sierżant rangą kazał żołnierzom ustawić się w kolejce, bo tato powiedział, że chleba będzie więcej i rozdawał po kolei, a mama chochlą nalewała mleko przeważnie do menażek wojskowych. Wreszcie żołnierze poszli dalej. Ostatnie pół chleba wziął tacie ten sierżant mówiąc: „My się tą resztą podzielimy”. Po krótkiej chwili wchodzi jeszcze dwóch spóźnionych ledwie się na nogach trzymających i proszą chleba i wody. Mama powiedział im, że dowódca wziął chleb i że jak ich dogonią to dostaną chleba. A oni obaj zaptakali, upadli na kolana i z wielkim żalem powiedzieli: „To my już nie dostaniemy chleba?” Był to widok przerażający. Mama szybko weszła do kuchni, wzięła mniejsze pół bochenka, co było zostawione dla nas i dała tym żołnierzom. Oczy im zabłysły z radości na widok tego chleba, mleka też jeszcze dostali. Padli obaj mamie do nóg całując po rękach. Mama powiedziała: „Tak nie można. To jest wojna.” Kazała im wstać, podała jeszcze po garnuszku mleka i orzeźwieni, jedząc chleb w biegu, pospieszili żeby dogonić towarzyszy. Wcześniej ten sierżant powiedział: „Widzę, że byli

państwo dobrze przygotowani na taką sytuację”. Mama skinęła głową, on uśmiechnął się, podziękował, powiedział: „Jest niewesoło” i odszedł. Nie było czasu na żadne rozmowy, spieszyli się, a później nie wiem co się z nimi stało. Nam pozostało tylko niezapomniane wspomnienie. Nie tylko. Ale i nauka na przyszłość, że trzeba być bardzo zaradnym w takich trudnych sytuacjach.

Okazało się, że te odgłosy frontu miały miejsce za tym powiatowym miastem w lasach około 25 km od nas. Te walki jakie było słycać i widać, to były jedne z najgłośniejszych walk na świecie. Polskie oddziały nie miały żadnej łączności ze sobą. Spotkały się w pewnej odległości od siebie dwa polskie oddziały. Nie mając żadnego rozeznania kto jest kto, nocą jeden z oddziałów wyrzucił kilka pocisków armatnich z myślą, że strzela do niemieckiego wojska. Ci drudzy z kolei byli przekonani, że to Niemcy ich zaatakowali więc dali ognia. Oba te oddziały były dobrze uzbrojone więc długo na oślep do siebie strzelały. Mieli swoje sposoby do odczytywania miejsc wystrzałów wroga, co dawało możliwość dość dokładnego kierowania swoich dział na pozycje przeciwnika. I niestety było dużo celnych trafień po obu stronach. Najhaniebniejsze było, że obie strony były polskie i był to bratobójczy front. Były też zabudowania między lasami, przeważnie drewniane, kryte słomą, toteż większość została spalona nieświadomie przez swoje wojska. A podobno słycałem jak ktoś opowiadał, że wreszcie któryś z żołnierzy zwrócił uwagę na pozostałość z pocisku armatniego. Przeważnie denko pocisku pozostawało a na nim zazwyczaj były napisy i okazało się, że to był polski pocisk. Natychmiast zgłoszono do dowódcy, ten zakazał strzelać, tym razem wysłali zwiadowców i okazało się, że walczą ze sobą dwa polskie oddziały. To było dla obu stron straszne zaskoczenie, podobno jeden z dowódców strzelił sobie w głowę. Oba oddziały zadały sobie ogromne straty, zużyli bardzo dużo amunicji, nie mieli już większych szans na dalszą walkę z prawdziwym wrogiem. Postanowili więc rozbroić się i każdy mógł pójść gdzie chciał, wszystek sprzęt pozostawili w lesie, potem ludzie to porozbierali. Niemcy chociaż byli nie tak daleko ze swoim frontem nie byli w pełni przekonani co się dzieje więc chwilowo front powstrzymali. Szybko jednak zorientowali się co się dzieje i ruszyli do przodu. A być może dobrze wiedzieli i dlatego nie atakowali, czekając aż się Polacy sami wykrwawią.

Bardzo często się zdarzało, że dowódcami polskich oddziałów byli niemieccy szpiedzy i tak kierowali oddziałem, żeby go doprowadzić do zniszczenia. Przypominam sobie pewne opowiadanie człowieka z naszej kolonii, który w czasie tej mobilizacji był powołany na front i dość szybko wrócił do domu. Ten człowiek opowiadał, co się stało z jego oddziałem i dlaczego tak szybko wrócił do domu. Mówił, że ich oddział był dobrze uzbrojony, dobrze zorganizowany, zdyscyplinowany, że mieli kilka potyczek z Niemcami, ale bez większych strat. Dowódca tego oddziału był jednak jakiś dziwny. Był bardzo srogi i wymagający, stale groził rozstrzelaniem w razie nie wykonania jakiegoś rozkazu. Z jednej strony wydawało się, że jako dobry dowódca był w porządku z drugiej zaś strony jakoś dziwnie się zachowywał. Często po podaniu jakichś poleceń mówił, że musi się spotkać z innym oddziałem i odjeżdżał na kilka godzin, a ich oddział nie miał ruszać się z miejsca, tylko czekać na niego i dalsze rozkazy. Odjeżdżał na doborowym koniu i nikt nigdy nie wiedział gdzie i po co. Zastępca tego dowódcy, chociaż okazywał pełny respekt dla dowódcy miał jednak do niego pewne instynktowne uprzedzenie i podejrzenie co też w końcu okazało się słuszne. Pewnego razu wycofując się od frontu doszli do niedużego lasu nad wieczorem, dowódca dał rozkaz, żeby rozłożyli się na noc pod osłoną tego lasu i przenocowali do rana nie ruszając się z miejsca. Odjeżdżając dodał, że gdyby się ruszyli to mogą się narazić na duże straty. Kazał czekać na swój powrót i dalsze rozkazy. Po odjeździe dowódcy jego zastępca porozumiał się z oficerami i podoficerami i powiedział: „Mam jakieś bardzo złe przeczucie. Jako zastępca dowódcy jestem w tej chwili odpowiedzialny za oddział. Położenie w jakim się znajdujemy bardzo mi się nie podoba więc na moją komendę, daję rozkaz a w dodatku proszę was natychmiast wyruszajmy w takim to a takim kierunku, aby jak najszybciej i jak najdalej odejść z tego

miejsca.” Wszyscy popatrzyli po sobie, po prostu zrozumieli, że coś tu nie gra. Ktoś z obecnych głośno powiedział: „Rozumiemy panie poruczniku.” Odsalutowali i natychmiast oddział ruszył we wskazanym kierunku. Zastępca polecił jeszcze, żeby pozostawić rzeczy, które są najmniej potrzebne, tym samym odciążyć tabor. Idąc pod osłoną nocy, nad ranem już dość daleko od miejsca, które opuścili usłyszeli warkot samolotów. Eskadra niemieckich samolotów bombowych zbombardowała las, w którym miał nocować oddział. Bomby zrobiły z lasu ściernisko, a Niemcy przekonani, że oddział zniszczyli odlecieli nie domyślając się nawet, że oddział cały i zdrowy jest już daleko. Sprawdziło się złe przeczucie zastępcy dowódcy, a także jego obawy. Po obejrzeniu z daleka tego wydarzenia cały oddział rozumiał, że wszyscy mieli zginąć, że to było raczej zaplanowane przez dowódcę niż zwykły przypadek. Człowiek, który to opowiadał popłakał się, nie mógł sobie darować, że w polskim wojsku była taka zdrada. Kończąc to opowiadania dodał jeszcze, że nowy dowódca, któremu cały oddział zawdzięczał życie, zebrał cały oddział i przemówił w takie słowa: „Żołnierze, jeżeli takie są układy w naszym wojsku, jakie dzisiaj zobaczyliśmy, to nie mamy żadnych szans na dalszą otwartą walkę. Ja nie podejmuję się prowadzić was na pewną zgubę. Uszliśmy z życiem, to je ratujemy dalej, bo ono może się jeszcze Ojczyźnie przydać. Dlatego już nie rozkazuję, ale proponuję rozejście się, niech każdy kto chce zabierze swą broń, amunicję czy cokolwiek i idzie w swoją stronę.” Dało się słyszeć kilka głosów: „To zdrada, my chcemy walczyć dalej!” Więc dowódca powiedział: „Proszę bardzo, jeżeli któryś z oficerów czy podoficerów podejmie się dowodzić, to przegrupować oddział, zorganizować żołnierzy, którzy decydują się na dalszą walkę, zabrać sprzęt. Macie do dyspozycji cały tabor, konie, wozy, zabierzcie ile dacie radę w zależności od ilości żołnierzy, którzy zdecydują się na dalszą niedolę, bo na zwycięstwo nie mamy co liczyć.” I tak się stało, część żołnierzy rozeszła się, a część została z myślą, że przyłączy się do jakiejś innej jednostki, jeśli w ogóle w pobliżu jakaś się znajdowała. Takim to sposobem nasz sprawozdawca powrócił do domu cały i zdrowy.

Być może tak też było w przypadku tych dwóch oddziałów polskich walczących ze sobą. Też mogła to być sprawa celowo zaplanowana przez Niemców. Szpiegostwo niemieckie od dawna kręciło się na każdym kroku. Osobiście pamiętam jak jeszcze w 38 roku przez całe lato kręcił się po okolicy taki malarz krajobrazów. Nosił ze sobą taki stojak z tablicą, składane krzeselko i rysował czy malował na dość dużych kartonach rysunkowych. Obracał ten stojak we wszystkie strony świata. Zauważyłem też, że miał niedużą lornetkę zawieszoną na karku, ale schowaną pod ubraniem i zauważyłem, że od czasu do czasu patrzył przez nią przed siebie i coś rysował. Pewnego razu tato podszedł do niego kiedy rysował przy naszym płocie i zapytał go, co on to robi, a on odpowiedział, że jest miłośnikiem krajobrazów i rysuje je. Najpierw robi szkice, potem trochę podmaluje i sprzedaje je, że po miastach jest sporo chętnych na takie wiejskie, polne krajobrazy. Tato zaproponował, że kupiłby u niego taki choć jeden krajobraz. Odpowiedział, że nie ma ani jednego wykończonego widoku, a te co miał to już sprzedał. Tato powiedział do niego, że tu nie ma żadnych ładnych widoków, żeby można je rysować i się nimi zachwycać. Tu są szczerze pola, gdzieś zabudowania i to bardzo ubogie, i co tu rysować. Rysownik już trochę się zdenerwował i mówi: „Pan się na tym nie zna, a ja potrafię zrobić z niczego coś!” Tato spotkał go jeszcze na skraju lasu, dwa kilometry od nas na północ. Potem spotkał go przy innym lesie, również o dwa kilometry od nas na południe. Tato chodził na grzyby i do jednego i do drugiego lasu. Kiedy tato spotkał go przy tym drugim lesie, spojrział na tatę dość złowrogim okiem i powiedział: „Co mnie pan tak szpieguje?” Tato odpowiedział: „Wcale pana nie szpieguję, zwykły zbieg okoliczności. Pan chodzi rysować w różne miejsca, a ja chodzę na grzyby w te same miejsca więc się spotykamy”. Kiedy tato wyszedł z lasu z pełnym koszem grzybów przechodząc koło niego tamten się odezwał: „Pan podejdzie, coś panu pokażę”. Tato trochę się wystraszył, bo rzeczywiście był przekonany, że to szpieg przebrany za rysownika i rysował szczegółowe

mapy terenu a nie krajobrazy. Tato wiedział, że on miał lornetkę, to z powodzeniem mógł mieć i broń. „Znajdując się na skraju lasu może mnie kropnąć i nikt nie będzie wiedział co się stało” – pomyślał. Do zabudowań było dość daleko. On jeszcze raz powiedział: „Niech pan podejdzie, naprawdę chcę panu coś pokazać”. Trzymał w ręku kartkę jakiegoś papieru. Tato udawał, że zastanawia się co zrobić z koszem. On to zauważył i dodał: „Niech pan podejdzie z koszem, zobaczą, co pan nabierał. Ja też bardzo lubię grzyby. Więc tato podszedł do niego. On najpierw spojrzął na grzyby i zaraz podał tacie pozwolenie na rysowanie krajobrazów na terenie naszej gminy. Tato był jednak przekonany, że to był szpieg i rysował mapy terenów, bo już w czasie wojny Niemcy posiadali mapy tych terenów tak dokładne, że nawet ścieżki, poszczególne budynki, drzewa koło budynków czy pojedyncze drzewa w polu.

Powróć teraz do dalszych wydarzeń wojny. Nie jestem w stanie operować żadnymi datami, gdyż nie pamiętam ich, opiszę tylko wydarzenia i jak mi się to uda we właściwej kolejności. Po tych perypetiach w lasach za Tomaszowem Niemcy zwartym frontem posuwali się na wschód, w naszym kierunku. Nasza kolonia była położona przy takiej dolinie, kiedyś za niepamiętnych czasów płynęła rzeka stąd ta nazwa. Po drugiej stronie tej doliny na zachód ciągnęła się ta „wypychówka” wspomniana wcześniej. A jeszcze dalej na południe od nas począwszy od osady Jarczów ciągnęło się systematyczne wzniesienie ze wschodu na zachód kilka kilometrów. Potem łukiem skręcało na północ, tuż za tym łukiem była mała przełęcz i dalej coraz bardziej stromo to wzniesienie ciągnęło się aż do wcześniej opisanego szczytu „Wyżyny Lubelskiej”. Na przełomie tego wzniesienia począwszy od osady w górę była główna droga do Tomaszowa Lubelskiego, do którego od osady było 14 km. Przy tej drodze, którą nazywano „gościńcem” biegły słupy telefoniczne. Dwa miedziane druty umocowane na szklanych izolatorach, lśniły od słońca jakby były ze złota. Droga ta od niepamiętnych czasów była strategicznym szlakiem handlowym, dawno, dawno temu łączącym wschód i zachód. Ta droga ciągnęła się na przełomie tego wzniesienia aż do tego łuku przecinając wzniesienie prosto na drugą stronę wzniesienia. Dalej spadała w dół stromą serpentyną i dalej po równinie do celu.

Znowu powiecie: „Po co to marudzenie bez konkretów?” Kochani, właśnie od tego wzniesienia, które nazywało się „przeorską górą” (po drugiej stronie tej góry była wioska, która nazywała się Przeorsk) i od tej drogi, która nazywała się „gościńiec” rozpoczęła się nasza największa tragedia drugiej wojny światowej. Tą drogą Niemcy wciągnęli na tę górę ciężki sprzęt wojskowy, armaty dalekiego i krótszego zasięgu, ciężkie karabiny maszynowe, czołgi, itd. Niemcy ulokowali się na tym łuku góry i z takiej pozycji mogli obserwować jak na dłoni przestrzeń o przynajmniej pięciu kilometrach w szerz i co najmniej dziesięciu kilometrów w dal. Posługując się dobrym sprzętem optycznym w dodatku patrząc z góry to widzieli każdy ruch w każdej zagrodzie. Musieli też już mieć dobry nasłuch, bo okazało się że byli w stanie w nocy zlokalizować nawet nieduże szmery i skierować w to miejsce pocisk, bezbłędnie trafiając do celu.

To ulokowanie wojska i sprzętu, przygotowanie frontu musiało nastąpić nocą, a w dzień zapewne obserwowali teren. I trzeba przyznać, że dobrze obserwowali, odczuliśmy to na własnej skórze. Kiedy rano rodzice zauważyli, że na przeorskiej górze coś się dzieje zdecydowali się na ile zdążą jak najwięcej powynosić z domu. Niewiadomo było jak się sprawy potoczą. Chcę jeszcze wspomnieć, że już wcześniejszą noc nocowaliśmy w osadzie, nie w swoim domu. Po tym przeżyciu z tym małym oddziałem. Który nakarmiliśmy, byliśmy trochę wystraszeni. Nasze zabudowania były ostatnie od pół to w razie czego byliśmy narażeni na pierwszy ogień. Rodzice postanowili pójść do osady, bliżej ludzi i tak też zrobiliśmy. Podzielono obowiązki między siebie, ja prowadziłem krowę i jałówkę, krowa miała przewieszane przez grzbiet dwa związane ze sobą tobołki pościeli. Tato niósł też jakiś bagaż i coś z żywności, a mama miała na rękach mojego braciszka i chyba coś z podręcznych naczyn. Do osady było dwa i pół kilometra, dość szybko doszliśmy na miejsce. A że było

ciepło to pamiętam, że rozłożyliśmy się w jakimś sadzie, gdzie już było więcej takich tułaczy jak my. Krowy były przywiązane do drzewa. Mama wydoiła krowę, zjedliśmy kolację, chleb ze świeżym mlekiem i pokładliśmy się na rozłożonej na trawie pościeli. Z wieczora nie można było usnąć, patrzyliśmy na gwiazdy, tylko braciszek zaraz zasnął przytulony do mamy, potem i my usnęliśmy. Kilku mężczyzn, w tym i tato, cichutko wykradli się zobaczyć do swoich zagród co się tam dzieje, nic nie zauważając wrócili i rano wróciliśmy do naszej zagrody. I wtedy zauważono ruch na tej przeorskiej górze, rodzice zaczęli wynosić niektóre rzeczy z mieszkania do ogrodu. W ogrodzie było sporo krzewów porzeczki, agrestu więc upychali w te krzaki naczynia kuchenne, konfitury, soki w butlach, nawet niektóre meble wyniesiono pod drzewo owocowe. Były też w ogrodzie ule z pszczołami i do tych uli tato chował żywność, trochę mąki, chleba, cukru i innych rzeczy. Tato za każdym razem, gdy wchodził i wychodził z ogrodu, z przerażeniem spoglądał na tę nieszczęsną górę. Już było nad wieczorem, wracając z ogrodu zauważył błyski, zrozumiał, że to były wystrzały z karabinu maszynowego, natychmiast rzucił się na ziemię czołgając się pod dom, był blisko ściany domu i w tym momencie usłyszał grad pocisków i głos wystrzałów, niektóre z pocisków trafiły w ule, te stojące bliżej domu, inne świsnęły tacie koło nóg. Ten jeden przykład świadczy o tym jak dokładnie Niemcy obserwowali każdy ruch w zagrodach. Wówczas już było wiadomo, że to wszystko może się źle skończyć. Więc bez namysłu ja wziąłem krowy z tobołkami na grzbiecie, tato jakiś worek na plecy, mama dziecko i coś tam jeszcze i tym razem odchodziliśmy raczej z przekonaniem, że nie będzie do czego wracać. W chlewie została dość duża świnia, w kurniku kury, tato podmykał drzwi od tych zwierząt, żeby w razie pożaru zwierzęta mogły uciec z pomieszczeń, co tak się też stało. My udaliśmy się w stronę osady. Już niedaleko osady była dość duża zagroda, której wszystkie zabudowania były kryte blachą, nie były tak łatwo palne. Ta rodzina była narodowości ukraińskiej. Moi rodzice byli z tą rodziną zaprzyjaźnieni więc tato podszedł do tej zagrody i zapytał gospodarzy czy moglibyśmy zatrzymać się u nich. Ci z chęcią wyrazili zgodę i weszliśmy na podwórko.

Rozlokowaliśmy się na dworze pod ścianą domu od wschodniej strony, a że było pogodnie i bardzo ciepło więc nie było żadnego problemu. Krowę gospodarz wziął do obory a jałówka została przywiązana w takim przesmyku między stodołą a oborą, bo w oborze nie było miejsca. Mama wydoiła krowę, znowu mieliśmy chleb z mlekiem na kolację. W mieszkaniu już były dwie kobiety z małymi dziećmi od sąsiadów. Rodzina u której byliśmy składała się z pięciu osób, wszyscy byli w mieszkaniu. Gospodarz przyniósł nam słomy, żeby rozścielić pod pościel i ułożyliśmy się do spania. Był wieczór, zrobiło się całkiem ciemno. Gospodarz posłał najstarszego syna do ogrodu po naftę do lampy. Elektryczności nigdzie jeszcze nie było. Jakieś dziesięć metrów od domu był krzak bzu i w tym krzaku była schowana butelka z naftą, po którą poszedł ten chłopiec. W tym momencie stało się coś przerażającego. Jeszcze nie spaliśmy, nagle usłyszeliśmy przeraźliwy warkot, jakby samolot pojawił się tuż nad nami. Nastąpiło silne uderzenie w sam róg budynku, ten chłopiec upadł na ziemię od podmuchu powietrza i około 20 metrów od nas pocisk armatni uderzył w ziemię i wybuchnął. To była po prostu zgroza, na szczęście nic się nikomu nie stało, a to dzięki temu, że wszyscy leżeliśmy, i ten chłopiec i my. Po nas tylko dość sporo sypnęło ziemią, no i odłamki szkła z wybitych, górnych szyb okna pod którym leżeliśmy, spadły na nasze postanie. Ten pocisk wbił się w ziemię dość głęboko i jak wybuchnął to odłamki poleciały górą, było widać po ścianie jak była podziurawiona, a nas tylko ziemią obsypało. Ten wybuch nas tak ogłuszył, w uszach tylko dzwoniło, jakby w kilku kościołach na raz. Nie słyszeliśmy nawet jak gospodarz wołał, co się stało i czy żyjemy. Przez moment leżeliśmy wszyscy sami sobie nie dowierzając czy żyjemy. Po krótkiej chwili gospodarz jeszcze raz głośno, prawie z płaczem krzyknął po ukraińsku: „Józef, ty żywiesz? (Józef, ty żyjesz?)”. Chłopiec już usłyszał, odezwał się: „Ne bijsa, batiko, ja żywu! Wsio dobre! (Nie bój się, tato, ja żyję! Wszystko dobrze!)” i wstał otrzepując się z ziemi. „Nu sława Bohu! (Chwała Bogu!)” – powiedział

gospodarz wzruszonym głosem. Zaraz zwrócił się do nas: „A co z wami, żyjecie?” Tato wreszcie się odezwał: „Chyba żyjemy, bo cię słyszę!” . Gospodarz dodał: „Nikt nie jest ranny?” Okazało się, że ktoś z nas miało małe zadraśnięcie na głowie od szkła z okna. Wiatru nie było w ogóle, toteż długo utrzymywał się żrący zapach prochu, a raczej trotylu z tego wybuchu.

Pod jedną połową tego budynku była dość duża piwnica murowana z mocnym łukowym stropem. Gospodarz zaproponował, żeby wszyscy udali się do tej piwnicy, że tam będzie najbezpieczniej. Wejście do tej piwnicy było w kuchni po murowanych schodach, zamykane ciężką klapą. Po przedyskutowaniu tej propozycji wszyscy zgodzili się jednak wejść do tej piwnicy. W niej już było sporo ziemniaków i było niewygodnie siedzieć na ziemniakach więc pownoszono każdy swoje ciuchy, porozkładali na ziemniakach i było wygodniej. Dzieci szybko pozasypiały, a starszym nie było do spania, wszyscy byli bardzo podenerwowani, mama miała ze sobą zawsze krople na uspokojenie, prawie wszyscy pobrali. W tej piwnicy był też tak zwany zsyplik, taki otwór wychodzący na zewnątrz piwnicy, na dwór, też murowany z cegły, to trochę była wymiana powietrza. Ten otwór był od strony południowej więc od zachodu był w miarę bezpieczny, także nie na długą metę można by to wytrzymać.

Dużo po północy dały się słyszeć strzały bardzo pomieszane, co wyglądało na to, że toczy się zawzięta walka dwóch stron. Wcześniej nic nie było wiadomo o żadnym polskim wojsku. Jednak pod osłoną nocy nie wiadomo skąd przedostał się jakiś polski oddział, być może z lasu od północnej strony doszli do tej wspomnianej „wypychówki”. Zaś z drugiej strony tego „gościńca” od strony południowej pojawił się inny oddział, ale to nie było wojsko tylko oddział policji granatowej (tak kiedyś policję nazywano, bo chodzili w ciemnogradach mundurach). Dowiedzieliśmy się o tym po przejściu frontu, gdyż na tym miejscu było dużo zabitych, 30 osób i byli to sami „granatowi”. Po naszej stronie była to grupa polskich żołnierzy. Gdy Niemcy zauważyli te obie grupy, natychmiast ostrzelali ich i ruszyli na nich całym frontem. Nasi nie mieli ciężkiej broni, odstrzelali się tylko z karabinów i zaczęli się wycofywać w naszym kierunku. To już było prawie rano, zrobiło się jasno. Niemcy z góry mieli ich jak na dłoni. Kiedy żołnierze dobiegli do zabudowań „wypychówki”, wpadli na pomysł, żeby zrobić sobie zasłonę dymną i pod jej zasłoną uciekać. Tak po kolei podpalali budynki i pod osłoną dymu wycofywali się. Całą tę „wypychówkę” spalili. Pewien człowiek, sąsiad, który nigdzie nie uciekał, tylko z jakiejś kryjówki obserwował co się dzieje, opowiadał potem jak to wszystko przebiegało. Kiedy już ostatni dom wypychówki podpalili, który był naprzeciw naszej zagrody, tylko po drugiej stronie doliny, żołnierze, żeby przedostać się na naszą kolonię musieli przebiec niezabudowaną przestrzeń doliny, żeby dobiec do naszych zabudowań. Niemcy widząc ich nasilili natarcie, potoczyły się czołgi, piechota rozsypana w tyralierę szybko posuwała się do przodu nasilając ogień na przeprawiających się polskich żołnierzy. Podczas tej strzelaniny z jednego płonącego budynku, wybiegło trzech mężczyzn, narzucili na siebie pierzynę i biegli w kierunku doliny. Niemcy natychmiast puścili serię z czołgowego karabinu maszynowego i wszyscy trzej uciekający mężczyźni upadli, jeden zginął na miejscu, jego ojciec miał pociskiem przetrącony kręgosłup i po kilku godzinach zmarł. Drugi syn był ciężko ranny, ale przeżył. Gdy sąsiad to opowiadał, to aż się włosy na głowie jeżyły, to był straszny widok. Lament kobiet, krzyk dzieci, krowy ryczały w niebogłose, bo niektóre co prawda były na dworze przywiązane do drzew, ale za blisko zabudowań, ogień dosięgał ich swoim gorącem i po prostu żywcem je smażył, a one biedne nie mogły się uwolnić. Wyły z bólu jak wilki w lesie. Świnie uciekły z palącego się chlewu, ale już poparzone kwiczały z bólu. Niektóre krowy czy świnie poginęły, a niektóre przeżyły, ale i tak trzeba było je dobić, bo nie można było patrzeć na ich cierpienie. Sąsiad opowiadał, że w czasie tej nasilonej strzelaniny pocisk armatni uderzył w naszą stodołę i wybuchł, stodoła momentalnie stanęła w płomieniach.

Ponieważ było bardzo sucho, a wszystko było kryte słomą, to bardzo szybko cała zagroda spłonęła.

Kiedy polscy żołnierze dobiegli do kolonii to pod osłoną dymu z naszych zabudowań podpalili jeszcze kilka budynków naszej kolonii i wycofywali się w kierunku osady. My siedzący w piwnicy przez ten zsyplik słyszeliśmy tupot biegnących ludzi, ale nie wiedzieliśmy kto to był, to chyba byli ci uciekający żołnierze. Gospodarz odchylił trochę drzwiczki od włazu, żeby trochę powietrza wpuścić do piwnicy i rozejrzeć się, co się tam dzieje. Aż tu nagle znowu silny wybuch targnął powietrzem. Okazało się, że duży pocisk uderzył w dom sąsiada o około 50 m od nas na wschód. Natychmiast powstał duży pożar, naprzeciwko naszego na wół wybitego okna. Gospodarz zaraz zamknął za sobą wejście do piwnicy, wszedł do nas, powiedział co się stało, że jest niedobrze. Strzelanina tak się wzmogła, że pociski karabinowe gwizdały koło tego zsyplika uderzając w ścianę. W pewnym momencie pocisk uderzył w ten zsyplik, aż iskry się posypały i okruchy cegły. Pocisk odbił się rykoszetem i wpadł do piwnicy w ziemniaki, na szczęście nikogo nie drasnął. Jednak narobił takie go zamieszania, że nie można było tej gromadki uspokoić. Kobiety zaczęły lamentować, dzieci płakać, każdy po swojemu zaczął się modlić, ale gospodarz donośnym głosem powiedział: „Ja wiem, że Szpunar jest naprawdę bardzo wierzący i proszę, żeby Szpunar po swojemu głośno się pomodlił. Może nas Bóg uratuje, a jeżeli nie, to wola Boska”. Wszyscy ucichli, tato uklęknął na kolana i zaczął się modlić. Modlił się dość długo, aż w końcu się rozrzewnił i zakończył modlitwę z płaczem także wszyscy się rozplakali, ta modlitwa tak ich rozczuliła.

Drzwiczki do włazu piwnicy były lekko uchylone, żeby było słychać co się w mieszkaniu dzieje i naraz usłyszeliśmy mocne stuknięcie i szyby się posypały z drugiego okna od południowej strony. Okazało się, że to niemiecki żołnierz karabinem wytrącił ramę okna i szyby poleciały. Żołnierz zawołał po niemiecku czy jest tu kto w domu. Gospodarz był u samego wyjścia dobrze usłyszał to wołanie, a że gospodarz dobrze znał niemiecki język zrozumiał o co Niemcowi się rozchodzi więc wyszedł z ukrycia podnosząc drzwiczki włazu. Gdy Niemiec zobaczył, że pokrywa się otwiera i pojawia się człowiek, skierował karabin w jego kierunku. Gospodarz zdjął czapkę, położył na podłodze, Niemiec krzyknął: „Ręce do góry!”, oczywiście po niemiecku. Gospodarz na kolanach z rękami do góry przemówił do niego po niemiecku, że tu są sami cywile, kobiety i dzieci, proszę nie strzelać. Niemiec został zaskoczony poprawną niemiecką mową, opuścił karabin w dół, kazał opuścić ręce i powiedział: „Wszyscy wychodzić!” Pierwsze wyszły kobiety z dziećmi, potem jeszcze dwie kobiety. I wtenczas żołnierz powiedział, ale już bardzo łagodnym głosem: „Jeżeli naprawdę nie ma tu polskich żołnierzy, tylko kobiety i dzieci to wejdźcie do schronu jeszcze na pół godziny i już będzie po wszystkim. I już będzie można opuścić kryjówkę”. Gospodarz podziękował i wszyscy weszli z powrotem do piwnicy, tylko gospodarz przez uchyloną pokrywę obserwował co się dzieje. Po dłuższej chwili faktycznie wszystko ucichło, warkot czołgów i strzały, tylko jeszcze płonęły resztki sąsiednich zabudowań. Wszyscy wyszliśmy z tej ciemnej piwnicy, trudno było patrzeć na światło. Raziło przez kilka godzin.

Kiedy wyszliśmy na podwórko i spojrzeliśmy w naszą stronę widać było jedną wielką chmurę dymu. Wiatr lekko pociągał od zachodu więc nad całą okolicą ciągnęło bardzo nieprzyjemną wonią, różne odmiany spalenizny. Mama rozplakała się – „To cały nasz dobytek poszedł z dymem...” Tatowi też nie było do śmiechu, ale opanował się i powiedział: „Życie jednak mamy uratowane i to chyba najważniejsze. Dziękujmy Bogu za to”. Rodzice chcieli szybko wracać do siebie licząc na to, że może uda się choć trochę grubszego drzewa ugasić, powyciągać z ognia. Gospodarz, u którego przetrwaliśmy to najgorsze naprędce nauczył rodziców kilku wyrazów po niemiecku, aby w razie gdyby Niemcy nas spotkali po drodze, żeby można się choć co bądź dogadać. Oczywiście ja też pilnie słuchałem i chyba mi się to najlepiej utrwaliło. Bo te słowa dobrze pamiętam. Gdyby Niemiec powiedział: „Wo



gehst du?”, to miało znaczyć „Dokąd idziesz?”, to mieliśmy odpowiedzieć: „Ich gehe nach Hause”, co miało znaczyć: „Ja idę do domu” i kilku innych. Na szczęście nikt nas po drodze nie spotkał i nie mieliśmy okazji wykazać się znajomością niemieckiego. Nauka jednak w las nie poszła, przydało się to nieco później. Na odchodne rodzice i gospodarze wyściskali się z okazji, że udało się jakoś ten koszmar przeżyć i poszliśmy do swojego domu, którego naprawdę nie było.

W powrotnej drodze widzieliśmy jak sąsiedzi, każdy przy swoim pogorzeliśku coś wyciągał z ognia, coś gasił, wszędzie było słychać szlochanie i narzekanie. Rodzice idąc ze sobą rozmawiali, że co się stało to się nie odstanie, a teraz trzeba się trzymać, nie płakać, nie narzekać, ale dać dobry przykład innym – pomóc w potrzebie sąsiadom, jak będzie to możliwe. Udało się rodzicom utrzymać to postanowienie i z sąsiadami nawiązywali kontakty bez szczególnych wrażeń. Jedna sąsiadka wybiegła do nas na drogę z wielkim lamentem, ona pochodziła od Bochni i miała taki swoisty akcent, mówiąc: „Widziła co się to nie narobiło, loboga, loboga! Co tyraz bydzie? Wszyćko zgorzało!” Tato spojrział na nią karcącym wzrokiem i powiedział: „Nie narzekaj, kobieto, ale dziękuj Bogu, że wszyscy żyjecie”. Kobieta pokiwała głową i rzekła: „A juści, juści, prawda, bo u Maciaszków dwóch nie żyje, a jeden ino zipie” i jakby trochę zawstydzona pobiegła do siebie. Kiedy weszliśmy na nasze podwórko, to pierwszą czynnością jaką tato wykonał, to wziął długi, przeciwpożarowy bosak, który wisiał na drzewie wiśni i nie spalił się i zwałił komin sterczący wysoko i w każdej chwili groził zawaleniem stwarzając duże niebezpieczeństwo wokół siebie. Mama wzięła od taty ten bosak i zaczęła wyciągać z popiołów zwęglone kawałki drewna i polewać wodą, żeby je wygasić, bo przecież trzeba było drewna do kuchni, żeby coś ugotować. Wszystkie zapasy drewna opałowego spłonęły. Tatę zawołał sąsiad z daleka wołając: „Michał, pójdz ino tu, może nom co poradzis”. Tato szybko pobiegł i zobaczył tam leżącą krowę, bardzo poparzoną, ale żywą. Szybko z powrotem wrócił do siebie, zabrał niezbędne narzędzia, które miał schowane pod ulem, szybko pobiegł i ukrócił cierpienia temu zwierzęciu. Przykro to opisywać, ale to są fakty prawdziwe do tego stopnia, że je pamiętam i nigdy nie zapomnę. Potem było więcej takich przypadków, ważnym też było to, żeby wykorzystać mięso z tych zwierząt. Wiadomo było, że z żywnością będzie krucho, a tu tyle mięsa miałyby się zmarnować i dlatego podjęto taką pilną akcję. Po pierwsze, żeby przerwać cierpienia tych zwierząt, a po drugie, żeby zabezpieczyć duże ilości jakże niezbędnego pożywienia. U nas mieliśmy zapas soli więc mama dużo rozdała gdzie było potrzeba do zasolenia mięsa. W tamtych czasach był to jedyny środek do zakonserwowania mięsa na jakiś czas, drugim było wędzenie. Tato był tak zajęty tymi masarskimi sprawami u sąsiadów, że prawie zapominał o swoich potrzebach. Na domiar złego po tak długiej i pięknej pogodzie, pojawiły się chmury i zanosilo się na deszcz. A my byliśmy bez dachu nad głową. Gdy tato zauważył, że pogoda się zmienia, jakby się ze snu obudził, szybko odmówił sąsiadom dalszej pomocy, poradził im tylko co i jak mają robić i szybko powrócił do siebie.

Przyniósł sporo dobrego mięsa, mama zrobiła obiad. Po zwałeniu komina mama już bezpiecznie oczyściła kuchnię i już miała na czym ugotować obiad. Pojawił się też nieduży wiatr, wszędzie dmuchał popiołem, ale to było nieuniknione, bo gdzie by się nie ruszyć wszędzie był popiół. Dopiero deszcz przyklepał popiół, to już się tak nie kurzyło. Najgorsze było to, że nigdzie nie było ani kawałeczka dachu, co gorsze nie było z czego go zrobić, wszystkie deski czy jakieś żerdzie były spalone, nigdzie też żadnej słomy nie było. Tato jednak wpadł na dobry pomysł. Nasza zagroda cała była ogrodzona płotem z drewnianych sztachet, które były z wąskich desek przybijanych w równych odległościach, tak jakby co druga. Więc tato odrywał przesła płotu i składał tak, że deski wchodziły między siebie dosyć szczelnie, z takich składanych przesł zrobił dach. Najpierw nad kuchnią. Potem z tych przesł zrobił małą izdebkę, trzy ściany z przesł, czwartą ścianą była duża szafa ubraniowa, która była wyniesiona do ogrodu przed pożarem, obok niej wejście do pomieszczenia

zasłonięte płachtą zamiast drzwi. Dach był tego samego typu co na kuchni. Tato musiał też wykopać słupki od płotu, żeby do nich przymocować całą konstrukcję. Chociaż oprócz tego ta konstrukcja była przywiązana do mocnego drzewa owocowego, do jabłoni, żeby się nie ruszała. Nie było to za bardzo szczelne, ale zawsze chroniło od wiatru i nie byliśmy już pod otwartym niebem, ale pod dachem.

Muszę się troszkę cofnąć po pewne wydarzenie, nie zbyt ciekawe, ale warte zapisania. Tak gdzieś koło południa mama krzątała się przy wyciąganiu niedopalków, ja pilnowałem braciszka, żeby nie wszedł gdzieś do ognia, bo wszędzie w zwałach popiołu był ogień, a myśmy z braciszkiem chcieli dużo pomagać. Aż tu ni stąd ni zowąd dało się słyszeć chrumkanie w ogrodzie. Okazało się, że nasza świnka idzie do nas, a myśmy byli przekonani, że ona się spaliła, bo nie dawała znaku życia. Tato zanim opuściliśmy zagrodę wytoczył ze stodoły siewczarnię, taką maszynę do cięcia słomy na siewczkę, w dalszy zakątek ogrodu. I właśnie pod tą siewczarnią świnka wygrzebała sobie trochę ziemi i w tym dołku pod siewczarnią ucieła sobie drzemkę na świeżym powietrzu. Musiała wyjść z chlewu przed pożarem, bo nie było widać na niej żadnego śladu oparzenia, co byłoby na pewno widać, gdyby uciekała z ognia. A że była dobrze najedzona bo na odchodne zostawiono jej dużo karmy w korycie, to nie miała powodu przerywać sobie snu. A dopiero koło południa postanowiła upomnieć się, że trzeba coś wrzucić na ruszt i wyszła z ukrycia. Pojawiło się też kilka kur, nie wszystkie się uratowały, większość się spaliła. Jedna z tych żywych miała trochę osmalone pióra, widocznie uciekały już z ognia.

Po raz pierwszy jedliśmy obiad na świeżym powietrzu. Za stół posłużyła ścierka rozścielona na trawie, tylko miseczki i łyżki były normalne, bo były wyniesione do ogrodu, nie było też na czym usiąść więc wszyscy siedzieliśmy na trawie. Za to obiad smakował jak nigdy. Po obiedzie tato dalej zajął się budową szałasów, mama musiała mu pomagać, bo te przęsła niewygodnie było samemu nosić. I tak dzień bardzo szybko przeminął.

Wieczorem mama wydoiła krowę, a że zapomniała wydoić w południe to wieczorem nadoiła dużo mleka, że można się było z kimś podzielić. Po sąsiedzku, bo kilkadziesiąt metrów od nas mieszkali brat taty z żoną i też dwójką dzieci. Bardzo mi nieprzyjemnie o tym pisać, ale taka była prawda, że między nami a nimi była bardzo ciężka niezgoda, gniewali się, nie rozmawiali ze sobą. Powody do tej nienawiści były dwa. Jeden to ten, że byliśmy innowiercami. Drugi to zazdrość, że nam od początku lepiej się powodziło niż im. A to wszystko dzięki mamie, która potrafiła dobrze prowadzić dom i rodzinę. Stryjek zawsze przezywał mamę: „ta pani z miasta”. Nienawiść stryjka była tak wielka, że pewnego razu kupił sobie rewolwer z myślą, że zastrzeli tą „panią z miasta” i Michała. A że nie umiał się obchodzić z bronią, manipulując przy tym rewolwerze niechcący wystrzelił i pocisk dość mocno drasnął go w policzek i w nos. Stryjek bardzo się wystraszył i szybko sprzedał rewolwer. Powiedział do kogoś, że chyba Pan Bóg go ukarał za to, że chciał zabić brata i już zrezygnował z tego zamiaru. To miało miejsce długo przed wojną. Stryjenka była dużo rozsądniejszą kobietą, ale przy stryjku niewiele miała do powiedzenia. Rodzice nie mieli do nich nienawiści, ale też nie dało się z nimi żyć jak z innymi sąsiadami. Stryjek był jaki był i trzeba się było z tym pogodzić. A teraz, po tym co się stało, a u nich po prostu spaliło się wszystko, krowa, kury, świny, wszystko w domu bo nic wcześniej nie wynieśli, tyle że sami uszli z życiem, nawet byli bez kawałka chleba. Nic się nie zabezpieczyli na taką ewentualność, stryjek mówił: „Czego to akurat tu ma się palić?” Niestety stało się tak jak się stało. Mama obserwowała ich zachowanie się, że po prostu nie wiedzą za co się wziąć. Zauważyła, że stryjek gdzieś poszedł zgarbiony z rozpaczony, a stryjenka siedzi z dziećmi na trawie pod drzewem i płacze. Mama postanowiła przekonać ich, że nie czujemy do nich żadnej nienawiści i że w potrzebie potrafimy im pomóc. Więc nalała do szklanego słoja mleka ze trzy litry, ukroiła większe pół bochenka chleba, wzięła blaszany kubek i zwykły nóż do

krojania chleba i poszliśmy do nich na przełaj, bo płot już był rozebrany, to było bardzo blisko. Mama niosła mleko, a ja niosłem chleb, kubek i nóż. Stryjenka siedziała pod wiśnią, na kolanach miała dzieci, głowę miała wtuloną między dzieci i płakała, nie zauważyła naszego nadejścia. A mama spokojnym głosem powiedziała: „Wiktus, wydaje mi się, że wy nie macie nic do jedzenia, przynieśliśmy wam trochę mleka i chleba, bo widzisz mamy dojną krowę i chleb mieliśmy schowany w ulach to na razie jest co jeść i możemy się z wami podzielić” Stryjenka ocknęła się nagle i oczom nie wierząc odsunęła dzieci od siebie, uklękła i ze strasznym szlochaniem powiedziała: „Haniu, jak ty mogłaś! To myśmy wam tyle krzywdy wyrządzili, a ty się dzielisz z nami chlebem? My tego nie godni od was! Boże, Boże, odpuść nam nasze grzechy! Haniu, jak ja mam ci za to dziękować?” Mama odezwała się do stryjenki: „Uspokój się, przestań lamentować, co było między nami, to było, a teraz jedziemy na tym samym wozie i nie ma do czego wracać, jesteśmy rodziną i musimy sobie pomagać a nie wypominać stare grzechy” I od tej pory choć nie było bliskiej przyjaźni nie było już tej nienawiści co przedtem. A powoli w ogóle stosunki się polepszyły.

Na naszej kolonii spalonych było 10 zabudowań, dużo jednak zabudowań zostało. Ludzie z tej części spalonej, po obejrzeniu i spenetrowaniu swoich zgłiszczy, udali się w poszukiwaniu jakiegoś dachu nad głową, na tej niespalonej część kolonii. Nasi rodzice mieli całkiem inne plany i dlatego tato zmontował ten domek dla nas i małą wiatkę dla krów. Rodzice liczyli na to, że na zimę zamieszkamy gdzieś u braci czy w Łosińcu czy w Paarach. Kiedy tato już się uporał z najpilniejszymi sprawami poszedł do Łosińca w poszukiwaniu jakiegoś przytułku. Okazało się, że cały Łosiniec był spalony i inne wioski też. Nawet nie było mowy, żeby gdzieś tam się ulokować. Nasz plan nie udał się i zostaliśmy na lodzie, na kolonii wszystko było zajęte i nie wiadomo było gdzie się udać. Robiło się coraz chłodniej, a najbardziej uprzykrzał życie deszcz, zrobiła się taka jesienna słota, bardzo dokuczliwa. Te prowizoryczne dachy przeciekały, wszędzie było mokro, tylko nad spaniem dach był dobrze uszczelniony więc nie kapalo na pościel. Tato poszedł na sąsiednią wioskę, w kilku gospodarstwach poprosił o prostą słomę, otrzymał kilka snopków, parę wiązek siana, trochę zwykłej słomy na sieczką dla krów. W tej wsi tato miał znajomego człowieka, gospodarza, który miał konia. Ten gospodarz zaprzągnął konia do drabiniastego wozu, dał też od siebie trochę siana, jadąc przez wieś pozbierali tą wszystką darowiznę i przywiózł nam dużą furę słomy. To dla nas wiele znaczyło, tato zaraz metodą garstkową pokrył dach prostą słomą, ścianki też ocieplił tą słomą, posłanie też już było na słomie i zaraz zrobiło się cieplej i przytulniej.

Gdyby to szło do lata a nie do zimy, to można by od biedy mieszkać. Jednak zbliżała się zima i nie można też było przewidzieć jaka zima będzie więc nie można było na to liczyć. Pewnego dnia zjawił się człowiek spod osady i zaproponował nam, że choć mają małe mieszkanie, to jednak przyjmą nas na przezimowanie. Człowiek ten nie cieszył się zbyt dobrą opinią, ale nie mieliśmy wyboru więc dobre było i to. Więc przeprowadziliśmy się do tej rodziny. Chociaż było ciasno, ale za to zawsze w normalnym domu. Mało pamiętam z warunków jakie tam panowały, pamiętam jednak, że w dużej mierze sprawdziła się nieuczciwość tego człowieka, ale szczegółów nie będę opisywał.

Niedaleko, może kilometr od miejsca gdzie nas przyjęto, było bardzo duże gospodarstwo. Były duże budynki murowane, dwie bardzo duże obory i duża stodoła. To było zaplecze mającej powstać Wyższej Szkoły Rolniczej. W tym gospodarstwie nikt z pogorzalców się nie ulokował więc tato poszedł do tego gospodarza z prośbą, żeby nas przyjął na zimę. Szczególnie rozchodziło się o zwierzęta, bo tam gdzie byliśmy, nie było gdzie pomieścić. Nie bardzo chętnie, ale gospodarz się zgodził, tylko gospodyni była bardzo nieufna, bo była bardzo wierną katoliczką i jak tu przyjąć heretyka, co do kościoła nie chodzi? Ostatecznie przyjęli nas na nieduży pokój, z oddzielnym wejściem co było dla nas bardzo ważne, bo była pewna swoboda. Udostępnili nam też miejsce w oborze, także w stodole i w

piwnicy, także wprowadziliśmy się jak to dawniej mawiano „całą gębą”. Wszystko było w porządku tylko atmosfera była niezbyt miła między nami a gospodarzami i często pojawiały się jakieś problemy. Zima była bardzo ciężka, było bardzo dużo śniegu, na równych polach było ponad metr śniegu a my byliśmy dobrze zabezpieczeni.

Pewnego dnia miało miejsce bardzo ciekawe wydarzenie, które nie sposób byłoby pominąć. Nie pamiętam daty, ale to było krótko przed grudniowymi świętami. Pomimo takich dużych śniegów przyszli do nas dwaj niemieccy żołnierze ze straży pogranicznej. Około 5 km od nas przebiegała granica niemiecko – rosyjska. Żołnierze ci weszli do gospodarzy i pytali czy tu mieszka Szpunar Michał, mówili po niemiecku, ale nazwisko wymówili wyraźnie więc gospodyni zrozumiała, że to o nas chodzi. Z wielkim zapalem poprowadziła ich do nas. Tu muszę wspomnieć, że tato, żeby zarobić parę złotych zajął się garbowaniem skór futerkowych, a to było zabronione i gospodarze byli z tego niezadowoleni. Gospodyni była przekonana, że ktoś doniósł Niemcom i pewnie przyszli za to tatę aresztować. Gospodyni podprowadziła ich pod nasze drzwi i nie pukając otworzyła je szeroko i wskazała ręką na tatę i powiedziała: „To jest Szpunar”. Sama stanęła nieco w rozkroku, była to niska, ale krępa kobieta, wzięła się rękami pod boki i stojąc w drzwiach przyglądała się co z tego wyniknie. Żołnierze obaj weszli do środka, zaszalutowali i jeden z nich zapytał: „Bist du Szpunar?” (Ty jesteś Szpunar?). Tato był bardzo zaskoczony, ale odpowiedział: „Tak, ja jestem Szpunar”. Ten, który zapytał podszedł do taty, podał rękę i powiedział: „Ich bin dein Bruder. Ich bin Baptist” (Jestem Twoim bratem. Jestem baptystą.)Tatowi pojawiły się łzy w oczach, a Niemiec uściskał tatę, ucałował i odsunął się. Podszedł drugi żołnierz, też podał tatowi rękę i powiedział: „Ich bin Methodist” (Jestem metodystą) i uściskał tatę tak jak pierwszy. Gospodyni osłupiała, zbladła, omalże nie osunęła się, oparła się o futrynę i oczom nie wierzyła, zamiast Szpunara aresztować, to go wycalowali! Wreszcie opamiętała się i dość cicho powiedziała: „To ja chyba już sobie pójdę, a wy sobie pogadajcie” i wyszła zamykając za sobą drzwi. Po tym wydarzeniu gospodyni zrobiła się bardzo słodziutka, coraz przychodziła na pogawędkę, opowiadała, że całą noc nie spała, bo myślała sobie, że teraz kiedy Szpunar ma za sobą dwóch Niemców, to na pewno karta się odwróci. Myślała, że Szpunar przejmie teraz ich gospodarstwo i role się odwrócą. Tak się jednak nie stało i już do końca naszego pobytu u nich i potem nie było między nami żadnych problemów, była zupełna zgoda.

Poproszono tych Niemców, żeby usiedli, mama zaraz zrobiła herbaty, podała ciastka, takie amoniaczki, bardzo im smakowały. Rozmowa jednak nie kleiła się, oni w ogóle nie rozumieli polskiej mowy, a rodzice niemieckiej i w ogóle nie mogli się dogadać. Więc zaczęli się porozumiewać za pomocą Biblii, tekstów biblijnych, oni wyjęli swoje Biblie, nasi swoje i odszukiwali odpowiednie, potrzebne wyrazy i tym sposobem coś niecoś się dogadali. Dogadali jedną ważną rzecz, że oni przyjdą w następną niedzielę, a tato przyprowadzi dobrego tłumacza, tym tłumaczem był ten gospodarz u którego spędziliśmy te najtragiczniejsze chwile frontu. Gospodarz ten z chęcią się zgodził i druga wizyta już była normalna, bardzo korzystna dla obu stron. Tej zimy wizyty odbyły się kilka razy, ale już za pierwszym razem zostawili nam kartki żywnościowe na wiele produktów jak cukier, sól, mąka, tłuszcz i inne. Dopytywali się czy nasi gospodarze nam nie dokuczają, że jeżeli by coś było niedobrze, żeby im powiedziec, to oni ich odpowiednio ustawią. Tato powiedział im, że wszystko jest dobrze, a choćby nawet było coś nie tak, to jako chrześcijanie mamy cierpliwie znosić, nie wolno nam szukać zemsty. To im się bardzo podobało, ten baptysta poklepał tatę po ramieniu i powiedział, że to bardzo dobrze. Na dwa dni przed świętami przyszła do nas gospodyni z propozycją, że da nam mąki i innych produktów, żeby mama coś upiekła na święta, mama jej odpowiedziała, że nasi duchowi bracia zaopatrzyli nas we wszystko co nam potrzeba i odmówiła. Gospodyni znowu poczuła się jakby upokorzona, że nic od nich nie potrzebujemy. Z jednej strony była dobra ta przyjaźń z Niemcami, ale z drugiej strony znaleźliśmy się w bardzo niezręcznej sytuacji, przecież Niemcy byli ciężkimi wrogami Polski

i Polaków. Taka serdeczna przyjaźń rzucała podejrzenie o współpracę z wrogiem i to było najgorsze. Nic też dziwnego, że nasi gospodarze nie mieli do nas pełnego zaufania, po prostu nie dowierzali, że taka przyjaźń może być bezinteresowna. Unikali politycznych rozmów, żeby coś nie powiedzieć na Niemców, obawiając się, że możemy ich zdradzić. Sąsiedzi też patrzyli na nas krzywym okiem. Często sąsiedzi schodzili się do gospodarzy na pogaduszki. Pewnego wieczoru tato też poszedł do nich, byli bardzo zaskoczeni, bo wcześniej nie chodził na te pogawędki. Wszyscy spojrzeli po sobie porozumiewawczo, chyba żeby trzymać język za zębami. Tato jednak od razu wyjaśnił po co przyszedł. Przemówił do nich w te słowa: „Widzę, że jesteście zaskoczeni moim przybyciem, a może nawet skrępowani, dlatego chcę wam pewną sprawę wyjaśnić. Wiadomo wam, że przychodzą do mnie dwaj Niemcy, gospodarze zdołali was o tym poinformować, a ja nie mam zamiaru tego ukrywać. Wiem, że to rzuca na mnie cień podejrzenia o współpracę z nimi, nie chciałbym żebyście o mnie tak źle myśleli. Dlatego chcę wam publicznie oświadczyć, że ci Niemcy są ludźmi wierzącymi, tak jak i my, służą w wojsku, bo muszą, inaczej Hitler by ich rozstrzelał. Oni nie czują żadnej wrogości, ani do Polski, ani do Polaków, a tym bardziej nie mają zamiaru kogokolwiek lub jakkolwiek skrzywdzić. Wiem, że wam jest trudno zrozumieć, ale miłość do Boga i bliźniego działa właśnie w taki sposób. Dlatego zapewniam was, że ani nie współpracuję na ich korzyść, ani niczego nie donoszę na nikogo. Po pierwsze to nie w moim stylu, po drugie nikt ode mnie tego nie wymaga, ja was nie zdradzę, taka jest prawda.” Ponieważ tatę wszyscy znali, że był prawdomówny, więc atmosfera nieufności została rozładowana i to dało się odczuć na każdym kroku. Po jakimś czasie strażników pogranicznych wymienili, nasi Niemcy odjechali i nawet nie mieli możliwości się pożegnać, tylko przez kogoś, nie pamiętam przez kogo, podali nam sporo kartek żywnościowych. Już więcej nie mieliśmy z nimi kontaktu.

Teraz znowu trochę pomarudzę, opiszę wydarzenie niezbyt ciekawe, ale że to wydarzenie mnie osobiście dotyczy, więc chcę je opisać. Jak już wcześniej wspomniałem, tej zimy było bardzo dużo śniegu. Dla dorosłych było to bardzo dużym utrudnieniem, ale dla dzieciaków dużo śniegu to duża frajda. Sanki, narty, ale to było wszystko za mało, przecież to była wojna, a przy dużym śniegu, łatwo było zabawić się w wojnę. W pobliżu była spora grupa łobuzów w moim wieku (10 lat). Zbieraliśmy się razem, kopaliśmy w śniegu okopy, potem dzieliliśmy się na dwie grupy, chowaliśmy się do okopów i strzelaliśmy do siebie śnieżkami. Ale co to za wojna – śnieżkami. Któryś wpadł na genialny pomysł, żeby porobić łuki z kijów i sznurka, strzały z leszczynowych prętów. W dodatku te strzały były okute osłonkami z pocisków karabinowych, a więc były naprawdę ostre. To dopiero była zabawa w wojnę. Strzelaliśmy do siebie z łuków ostrymi strzałami, kryjąc się w okopach. Dla mnie jednak ta zabawa skończyła się niezbyt przyjemnie. Jeden z chłopców, choć z byle jakiego łuku, ale tak dobrze wycelował, że trafił mnie w głowę koło ucha. Trochę mnie zamroczyło, ale ocknąłem się i poczułem, że coś ciepłego spływa mi po policzku, sięgnąłem ręką i natrafiłem na wbitą strzałę. Narobiłem strasznego wrzasku, wszyscy się zlecieli, jak zobaczyli krew, zdali sobie sprawę, co ta zabawa znaczy. W moment porzucali łuki i pouciekali każdy do swojego domu, tylko dwóch zostało przy mnie. Kiedy wyjąłem tę strzałę, to krew jeszcze bardziej zaczęła spływać, więc co sił w nogach i rękach, bo po takim dużym śniegu nie łatwo było biec, pędziłem do domu, zostawiając na śniegu czerwone ślady naszej wojny. Wpadając do mieszkania, napędziłem rodzicom niemałego stracha. Spłakany, cały okrwawiony, nie mogłem słowa wymówić, trochę też ze strachu, że to mi na sucho nie ujdzie. Mama zaraz przyłożyła mi opatrunek z jodyną, co mnie straszliwie piekło. Obmyła mnie, ja powoli wyszłochałem, co się stało, a tata zaraz poszedł na to pobojowisko, pozbierał kilka łuków i strzał, przyniósł do mieszkania. Rodzice zaczęli mi klarować, że mogliśmy sobie oczy powybić, okaleczyć się na całe życie. Potem przyrzeczenie, że nigdy więcej i faktycznie zabawa w wojnę się skończyła. Przez jakiś czas nie spotykaliśmy się z chłopcami razem,

chłopcy obawiali się, czy nie będzie z tego jakichś konsekwencji, na szczęście nie było. Znak jednak mi pozostał do dziś.

Zima powoli zaczęła ustępować, z chwilą pojawienia się cieplejszych dni tato wyruszył w poszukiwanie jakiegoś domu do kupna. Udał się w tym celu do braci do Łosińca, a stamtąd do innych wiosek, które nie były spalone, tam można było coś kupić. W czasie wojny w lasach było zupełnie bezprawie, więc ludzie ścinali drzewa, budowali nowe domy, a stare sprzedawali. Tato kupił taki stary, ale jeszcze w możliwym stanie dom. Właściwie to nie było kupno za pieniądze, tylko taka wymiana towar za towar. Na tą wymianę poszła maszyna do szycia „Singer”, dwie pary mocnych, skórzanych butów i jeszcze inne jakieś wartościowe rzeczy, już nie pamiętam jakie. Kiedy już się zrobiło w miarę sucho, to bracia z Łosińca, którzy mieli konie, pomogli przewieźć ten dom do nas. Oczywiście po rozebraniu go wpierw. Myśmy już całymi dniami porządkowali stare śmiecie. Zbudowanie tego domu konieczne pasowało na starym miejscu, więc trzeba było je uporządkować. Usunąć wszystkie popioły, gruzy, rozebrać podmurówkę ze spalonego domu itd. Po prostu trzeba było przygotować plac pod budowę drugiego domu. Tato z niektórych fragmentów tego kupionego domu, powiększył to nasze prowizoryczne schronisko, tak żeby mogło nocować jeszcze dwóch ludzi. Byli to bracia z Łosińca, którzy byli dobrymi budowniczymi i zgodzili się nam pomóc przy złożeniu tego domu.

Kiedy już pojawił się komplet robotników, okazało się, że było pięciu Michałów. Powstał problem jak się porozumiewać, trzeba było poopróżniać od siebie te imiona. Po wspólnej naradzie ustalono, że tatowi pozostawili tak jak było do tej pory, mama zawsze mówiła na tatę Michaś. Nasz najbliższy sąsiad, on był głównym majstrem, którego żona zawsze wołała Michał, też tak pozostało. Tych dwóch braci z Łosińca, obaj byli narodowości ukraińskiej, jeden z nich powiedział: „To niech będzie po ukraińsku – Michajło”, ten drugi brat był w Łosińcu znany jako brat Michałko i tak tu go nazwano. Był jeszcze jeden człowiek, dalszy sąsiad, on był palaczem w kotłowni w młynie w osadzie, ale Niemcy młyn zamknęli, więc on był czasowy i z chęcią przychodził nam pomóc. Też miał na imię Michał, a że był skromnej budowy nazwali go Michałek. I tak, pracowało pięciu Michałów!!!

Wszyscy byli uczciwi, bardzo pracowici, więc bardzo szybko dom stanął. Mama gotowała smaczne obiady, oczywiście śniadania i kolacje też. Mieliśmy bliskiego sąsiada dobrego zduna, to jak tylko dom został jako tako przykryty, zdun postawił piec po starodawnemu, zajmujący  $\frac{1}{4}$  pomieszczenia kuchni. Był to piec wielofunkcyjny, duży piec do pieczenia chleba, kuchnia z blatem na cztery fajerki, ogrzewalnik z dobrze trzymającą ciepło duchówką, zapiecek umożliwiający wejście na piec, na którym można było wygodnie spać, a pod piecem jeszcze dość obszerna gruba na ziemniaki na zimę. Różne wykończeniowe prace w tym domu, prawie wszystkie tato sam robił, toteż dość długo mu to zeszło zanim doprowadził do stanu zamieszkania. Było to jednak lato, ciepło, więc nie było pośpiechu. Dom był tak usytuowany, że pod jednym dachem było wiele pomieszczeń, tak więc był jeden pokój z oknami na wschód i na południe, taka sama w metrażu kuchnia z oknami na północ i na południe, z wejściem do pokoju i wyjściem na zewnątrz. Wejście do domu z dworu było przez mały korytarz, tak zwaną sień, która znajdowała się w trzeciej części domu o takim samym metrażu jak poprzednie. To pomieszczenie było podzielone na pół, w połowie była mała obórka, a druga połowa to była ta sień i mała zagroda na świnkę. Nad tą zagrodą była duża półka z desek, nad którą były grzędy dla kur. Jak widać z tego opisu było to wszystko bardzo ciasne, ale swoje i pod dachem. Jaka była nieopisana radość kiedy już przeprowadziliśmy się z tych prowizorycznych szałasów do prawdziwego domu, a w dodatku swojego. Cieszyliśmy się jak małe dzieci, tak rodzice jak i my obaj chłopcy.

Powoli wszystko by się jakoś układało, dochodziło do normy, ale to był przecież dopiero pierwszy etap wojny. Znowu nadciągnęły czarne chmury, wojna z Rosją. Niemcy zaczęli intensywne przygotowania do wojny, a że mieszkaliśmy na pograniczu z Rosją, około

pięciu kilometrów od granicy. Niedaleko też przebiegała główna trasa Warszawa – Lwów, więc tu była duża koncentracja wojska. Niemcy zdawali sobie sprawę, że Rosjanie będą lepiej przygotowani do wojny jak Polacy, toteż ściągnęli bardzo dużo ciężkiego sprzętu. Pod osłoną nocy wprowadzili dużo wojska do lasu, dwa kilometry od nas, nad samą granicą. Niemcy w naszej okolicy byli w o tyle lepszej sytuacji, że granica była w nizinie za wysoką górą i od Ruskich nie było nic widać co się po naszej stronie dzieje. Natomiast Niemcy, z tego lasu, który był na samej górze, mogli obserwować rozległą równinę po ruskiej stronie. Wojsko, które było rozlokowane w lesie to piechota i kawaleria. U nas przy ogrodzie ulokowali punkt weterynaryjny, stała taka duża przyczepa, a może to nawet był samochód wojskowy, nie pamiętam dobrze, w nim był zakwaterowany lekarz weterynarii. Nie wiem skąd i po co Niemcy mieli kilkanaście koni białych (siwych) i w naszym ogrodzie poprzywiązywali je do drzew i wszystkie pomalowali na ciemnokasztanowy kolor. Po wyschnięciu osiedłali je i odprowadzili do lasu, do oddziału. Na tej przeorskiej górze, o której tyle wcześniej pisałem było kilka zabudowań i w stodołach tych zabudowań Niemcy pod osłoną nocy ulokowali ciężkie, dalekosiężne działa. Lufy tych armat wystawały z wrót tych stodoł, skierowane w stronę granicy. To było takie idealne zamaskowanie, że nikt nie miał powodu nawet domyślać się, że tam są działa, aż dopiero później wyszło szydło z worka jak nastąpił atak. U nas tato z mamą wykopali dwa schrony w ziemi, jeden dla krów z pochyłym wejściem, drugi dla nas z wejściem po drabince. Te schrony były przykryte grubymi, drewnianymi balami, ułożonymi w dwie warstwy, wszerz i wzdłuż, przesypane i zasypane grubo ziemią. Ten weterynarz przyglądał się tym schronom o powiedział: „Das ist gut (To jest dobre)”. On też nie rozumiał polskiej mowy.

To, że ten lekarz u nas się znalazł, było spowodowane troskliwym działaniem Boskiej opatrności nad nami. Mama przy tych wykopach bardzo się przemęczyła i bardzo poważnie zachorowała, dostała krwotoku. Na początku myślano, że to sprawa naturalna choć nie w porę, okazało się jednak, że to nie było normalne. Mama zaczęła bardzo słabnąć, wreszcie położyła się. Tato chciał dostać się do osady, tam mieszkała dyplomowana położna, z którą mama dobrze się знаła, że może ona coś pomoże czy poradzi. To okazało się niemożliwe, bo wszędzie było wojsko, nie wolno było wychodzić poza swoje zagrody i nic z tego nie wyszło. Wreszcie tato podszedł do tego lekarza, a że myśmy już sporo wyrazów podchwycili po niemiecku, tato powiedział do niego: „Bitte Her, meine Frau ist krank (Proszę pana, moja żona jest chora)”. Ten bez wahania powiedział: „Wo ist deine Frau (Gdzie jest twoja żona)?”. Wziął tatę za rękę i powiedział: „Komm! (Chodź!)”. Tato pokazał ręką w kierunku ogrodu, ale nie więcej powiedzieć nie potrafił.

Gdy przyszli do mamy spojrzął na mamę. Była bardzo blada. Kiedy już stwierdził o co chodzi, zapytał: „Wieviel Tages? (Ile dni)?”. Liczyć też już choćby do dziesięciu umieliśmy, więc tato odpowiedział. Nie pamiętam ile to dni było. Lekarz pokręcił głową i zaczął coś tłumaczyć, ale nie można było zrozumieć. Mama leżała na takich dwóch szarach słomy zdjętych z dachu domu. Złożone dwa razem stanowiły równe, dobre posłanie. Niemiec widząc, że nic się nie dogadują sam oderwał kilka kiczarek i zmienił to posłanie. Ułożył mamę tak, że brzuch i pośladki miała wysoko, a cała klatka piersiowa nisko tylko głowa trochę wyżej. Że to była ciepła pogoda, na deszcz się nie zanosilo, więc nie kazał się ruszać, tylko w takiej pozycji przemocować. Przyniósł też gruby wełniany koc, że może być w nocy chłodno. Przykrył mamę i nie kazał prznosić mamy do mieszkania. Tylko przemocować w ogrodzie, na świeżym powietrzu i bez żadnego wysiłku. Chyba dał jakieś kropelki na spanie i mama całą noc przespała i rano obudziła się lepsza. Była trochę silniejsza, ale najważniejsze, że krwotok się zatrzymał. Tato też spał obok mamy na podobnym posłaniu. Bardzo rano Niemiec przyszedł sprawdzić, jak się mama czuje. Bardzo się ucieszył, że jest lepiej, że mógł pomóc. Kazał bardzo ostrożnie się poruszać. Jeśli jest potrzeba fizjologiczna, to załatwić się na miejscu. Śniadanie zjeść na leżąc i jeszcze leżeć w takiej pozycji. Tato bardzo się przejął

chorobą mamy i też się bardzo źle czuł, ale czas naglił, żeby się znowu przygotować na najgorsze. Były przecieki od wojska, że po drugiej stronie granicy też było dużo wojska rosyjskiego, że są dobrze przygotowani do obrony i nie wiadomo było co z tego wyniknie. Wszystkiego można było się spodziewać.

Tego samego dnia, popołudniu, mama poczuła się lepiej, pomalutku wstała, ale w głowie jej się kręciło, toteż z tatą pod rękę przeszła parę kroków, usiadła na ławce i powiedziała, że teraz już chyba będzie dobrze. Po chwili lekarz przyszedł znowu zobaczyć co się dzieje. Spojrzał na mamę. Mama już nie była taka blada, była lekko zadowolona. Wyciągnęła do lekarza rękę, on podał swoją, mama uściśniła jego rękę i podziękowała mu po niemiecku jakoś poskładanymi słowami. On się roześmiał i pokazał, że mama mocno go uściśniła, co znaczy, że wszystko jest dobrze. Szybko jednak bardzo spoważniał, obrócił się twarzą na zachód, słońce było prawie nad zachodem, zamyślił się i nagle wyciągnął obie ręce przed siebie. Łzy pociekły mu po policzkach, a on głośno powiedział: „Mein Gott! Mein Gott! Meine liebe Frau und meine liebe kleine Kinder! (Mój Boże, mój Boże, moja kochana żona i moje kochane, małe dzieci)”. Dlatego zaklął, mówiąc, po co ta wojna, czy jeszcze wrócę do domu. To było bardzo wzruszające. Rodzice też się popłakali. Niemiec uspokoił się i całkiem poważnie, a nawet z pewnym zatroskaniem powiedział, a raczej na migi pokazał, żebyśmy dzisiaj na noc weszli do schronu.

Krowy też zaprowadzić do schronu. Być może wiedział, że tej nocy nastąpi atak na ruskich i dlatego tak się rozczulił i kazał nam skryć się do schronu.

Oczywiście przewidywania sprawdziły się. Nad ranem jeszcze było ciemno. W schronie ziemia zadrżała. Ciężkie działa dały o sobie znać, kolejno wyrzucając śmiercionośne pociski w kierunku granicy. Wojna się rozpoczęła, właściwie to drugi etap wojny. Tym razem nie było żadnych szkód po naszej stronie. Niemcy chyba posłużyli się podstępem. Na pewno mieli swoich ludzi w rosyjskim wojsku, gdyż tego wieczoru przed atakiem, wojsku rosyjskiemu dostarczono dużo wódki. Wojsko urządziło sobie libację na zachętę do wojny, tak, że po prostu żołnierze wraz z dowództwem byli pijani do tego stopnia, że Niemcy ich zaskoczyli i nikt nie stawiał oporu. Dopiero po południu oddziały rosyjskie, stojące dalej od granicy, dały skuteczny odpór, tak, że Niemcy zmuszeni byli trochę wycofać się.

Ruscy z ciężkich dział ostrzelali niemieckie wojsko, czego Niemcy się raczej nie spodziewali i zadali duże straty w ludziach. W niemieckim wojsku powstało spore zamieszanie. Do naszego zaplecza też przypędził goniec na spienionym koniu, potem drugi. Żołnierze zostali postawieni w stan ostrego pogotowia, bagnety na karabinach. Nasz lekarz też założył hełm na głowę, karabin na ramię, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Tato podszedł do niego i zapytał: „Was ist das? (Co to jest)”. „Es ist nicht gut ( Nie jest dobrze)” i żeby nie podchodzić do żołnierzy, być blisko schronu i w razie czego kryć się. Tato zaraz wprowadził krowy do schronu i myśmy też wcześniej weszli do schronu. Wieczór strzelanina ustała, zrobiło się cicho. Tato wyszedł jeszcze ze schronu popatrzeć co się dzieje. Nie było nic słyhać ani widać. Wrócił mówiąc, że chyba wszystko w porządku, więc posnęliśmy. Rano okazało się, że ostre pogotowie odwołano, słyhać było strzały, ale gdzieś bardzo daleko. Nasze działa w stodołach milczały, albo w ogóle już ich tam nie było. Nasze wojsko z całym zapleczem też szykowało się do odejścia. Nasz lekarz też likwidował swój kram, pakował różne narzędzia, jakie miał porozkładane na zewnątrz. Po chwili doleciał do nas donośny głos: „Hausher komm here! (Panie gospodarzu, choć tutaj!)”. Tato podszedł do niego, a on pokazał ręką leżącą kupkę różnych rzeczy i kazał zabrać szybko, żeby nikt nie wiedział, to był ten gruby koc, którym mama była przykryta w ogrodzie, tato wcześniej go oddał, dwie czy trzy plandeki brezentowe, bardzo mocne, nieprzemakalne, wiadro na wodę brezentowe do pojenia koni i inne jakieś drobiazgi. Tato powiedział: „Danke sehr. (Dziękuję bardzo.)” i szybko sprzątnął to wszystko. Chociaż nie wiele nad tydzień przebywaliśmy z tym Niemcem, ale bardzo zżyliśmy się z nim. Myślę, że to było dlatego, że dzięki niemu mama



doszła do zdrowia, i również dlatego, że był taki swojski. Lubił przyjść zjeść coś gotowanego, bo w tym czasie żołnierze byli na suchym prowiancie. Bardzo lubił jajecznicę na maśle. Mama raz zrobiła pierogi, to nie mógł się najeść, tak mu smakowały.

Po południu wszystko wojsko wyjechało, została pustka, ale z drugiej strony już można było swobodnie poruszać się, pogadać z sąsiadami i przyprowadzać wszystko do normalności. Nie trzeba już było schodzić na noc do schronu, można było normalnie wyspać się na łóżku w mieszkaniu.

Zapewne trochę nudny jest taki drobiazgowy opis jak ten, ale to jak z jakąś dzianiną. Pociągasz za nitkę i oczko za oczkiem prujesz, ani się obejrzysz, a gałka, na którą zwijasz nić, już taka duża. Dopiero teraz, pisząc te wspomnienia, mogę sobie choć trochę wyobrazić pracę prawdziwych pisarzy o jakiegokolwiek tematyce. Oczywiście wielu pisarzy musi zmyślać różne epizody, żeby powstała dobra książka. Ja natomiast nie muszę zmyślać tylko pruję wdzianko, udziergane przez rzeczywiste wydarzenia życiowe i przenoszę je na papier. Bardzo często natrafiam na guz na nici, co znaczy, że nić została przerwana i znowu połączona, tym guzem. U mnie bywa tak samo, że niektóre wydarzenia już zatarły się w pamięci, nić myśli przerwała się, muszę ją związać na guz, w którym pozostaje jakieś zapomniane wydarzenie. Pomimo tego guza trzeba pruć dalej, korzystając z tego, co jeszcze pamiętam.

Po przełamaniu oporu Rosjan, Niemcy bardzo szybko poszli do przodu, a w Polsce zaczęli ustanawiać warunki typowej okupacji. Wszędzie po gminach rozlokowano Gestapo, wyszło zarządzenie wymiany dowodów osobistych na tak zwane „kentkarte”. To było zaświadczenie tożsamości wypisane po niemiecku, z fotografią. Przyjechał fotograf na oznaczoną godzinę i wszystkim dorosłym robił zdjęcia. Pojawił się obowiązek oddawania części produktów rolnych: zboża, mięsa, nawet masła i jaj. Ilość zależała od ilości gruntów ornych. To był tak zwany „kontyngent”, bardzo tego przestrzegali. Jak ktoś nie oddał tłumacząc się, że nie ma z czego, to zaraz przyjechała kontrola, zrobili rewizję i jak coś znaleźli, to wtenczas zabrali wszystko, lepiej było nie ryzykować. Przy wymianie dokumentów tożsamości, ten urzędnik, co wydawał dokumenty wziął tatę do osobnego pokoju i powiedział: „Ty masz niemieckie nazwisko.” Po niemiecku pisało się „Schpuner” podpisz Volkslistę, jako Volksdeutsch będziesz inaczej traktowany, nie będziesz oddawał kontyngentu, a jeszcze dostaniesz kartki na cukier, sól i inne produkty. Oczywiście będziesz z nami współpracował. (kusząca propozycja) Tato jednak na to się nie zgodził. Urzędnik był bardzo zły i powiedział: „Zastanów się dobrze, bo będziesz tego żałował.” Tato kategorycznie odmówił, a on powiedział: „Będziesz jeszcze prosił, żeby cię przyjąć, a ja tu zaznaczę, że odmówiłeś. Tato nigdy ich o to nie poprosił, tylko jeszcze raz był wzywany do gminy w tej sprawie i na tym na razie się skończyło.

Po wsiach, po cichu zaczęła się organizować partyzantka. Jedni robili to z pobudek patriotycznych, inni tworzyli bandy czysto rabunkowe. Pewnej nocy, to było już późną jesienią, padliśmy ofiarą takich rabusiów. Późno w nocy, wszyscy już spaliśmy, ja z bratem spaliśmy na łóżku pod samym oknem. Obudził nas głośny trzask i brzęk wybitej szyby. Szkło poleciało na nasze łóżko. Ktoś kolbą karabinu wybił szybę i przez wybity otwór. Głośno zawołał: „Partyzantka, otwieraj drzwi.” Tato wstał i wyszedł otworzyć. Wiadomo było, że prawdziwi partyzanci okien nie wybijali. Bywało, że przechodząc nocą z jednego lasu do drugiego, a nasz dom, jak już wspominałem był ostatnim w naszej kolonii, a droga przebiegała obok, to czasem wstąpili do nas. Ale oni cicho zapukali do okna, jak ktoś się odezwał to albo poprosili o coś do jedzenia, albo chcieli napić się czegoś gorącego, a czasami parę godzin się przespać. Zachowywali się grzecznie, cichutko, jak na prawdziwych partyzantów przystało. W tej sytuacji, z góry było wiadomo, że to nie partyzanci, tylko jacyś rabusie. Koło łóżka rodziców stała maszyna do szycia z szufladką w stoliku. W tej szufladce był ładny kieszonkowy zegarek ze srebrną dewizką i bardzo dobra brzytwa do golenia. Kiedy tato poszedł otwierać, mama szybko wyjęła zegarek i brzytwę i schowała w słomę pod

prześcieradło. Dawniej na wsiach wszędzie była słoma w łózkach za podłoże do spania. Tato otworzył, a tu stoi dwóch z karabinami ustawionymi do taty, jeden z nich wrzasnął głośno: „Ręce do góry, wracać do łózka.” Tato podniósł ręce i wrócił do mieszkania. Mama już zdążyła zapalić lampę naftową. Ci dwaj weszli za tatą z wycelowanymi karabinami. Kazali rodzicom położyć się na brzuchu, na nas nakrzyczał, żeby się schować pod pierzynę. Przy świetle lampy okazało się, że ci „partyzanci” mają obaj kominiarki na głowach, tylko powycinane otwory na oczy. Wiadomo już było, że to są jacyś swoi ludzie, bo są zamaskowani. Tato jednego poznał po głosie. Mama też jednego rozpoznała po zachowaniu się, które go zdradziło, później o tym wspomniała.

Jak już nas odpowiednio pokładli, zagrozili, żeby się nie ruszać, bo będą strzelać. Karabiny oparli jeden o stół, drugi o kredens i wzięli się do penetrowania mieszkania. Jeden miał nas stale na oku i na stojąco wyrzucał rzeczy z szafy, z takiej komody. Co lepsze rzeczy, które mu pasowały odkładał na stół, a resztę rzucał na podłogę. Ten drugi buszował pod łózkami, jakby dobrze wiedział, że tam są różne rzeczy umieszczone. W pewnym momencie mama dostała ataku serca, miała silną nerwicę serca, dostała drgawek. Tato nagle zerwał się i głośno krzyknął: „Chcesz to strzelaj, mi wszystko jedno, muszę podać żonie krople na serce” i skoczył z łózka. Ten, co nas stale obserwował chwycił za karabin, ale tato nie zwracał na to uwagi. Szybko podszedł do kredensu, wziął krople, kubek i poszedł do kuchni, nalał wody z czajnika i wrócił do mamy. Mama usiadła bardzo roztrzęsiona. Tato odliczył krople, też ręce mu się trzęsły i podał mamie, wypić. Ten bandzior stał z karabinem skierowanym do rodziców. Był zaskoczony, nie wiedział co zrobić. Drugi bandzior też chwycił za karabin, ale nie mierzył tylko obaj czekali, aż wreszcie jeden krzyknął: „No pośpiesz się, kłaść się.” Po chwili odezwał się głos przez wybitą szybę: „no co tak długo się guzdracie, pośpieszcie się”. Ten głos też wydawał się jakiś znajomy. Wtedy było wiadomo, że było ich więcej. Nie tylko dwóch w mieszkaniu, ale nie wiadomo było ilu ich było. Na ostatek bardzo podle się zachowali. Nie znaleźli żadnego worka na te zrabowane rzeczy, więc wysypali na ziemię duży worek białej mąki, worek otrąb i w te worki zapakowali swoją zdobycz i wyszli.

Muszę się trochę cofnąć, wspomniałem, że mama schowała z szufladki od maszyny zegarek i brzytwę. W trakcie tego rabunku jeden z bandziorów, wysoki, barczysty mężczyzna podszedł do maszyny do szycia, wysunął szufladkę i głośno zapytał: „A zegarek gdzie jest?” Mama zaraz zrozumiała, że to musi być ktoś, kto widział, że w tej szufladce był zegarek. Tak właśnie było, to pozwoliło ustalić kto to był. Kilka dni wcześniej chodził po wsi właśnie taki wysoki mężczyzna. On był nam znany, niby to skupował masło, jajka, ale oferował tak niską cenę, że nikt nie chciał mu sprzedać. Zaszedł też do nas. Udawał bardzo zmęczonego. Pytał czy może usiąść. Oczywiście usiadł, rozglądał się po mieszkaniu. Po chwili zapytał która to może już być godzina. Mama bez namysłu odsunęła szufladkę, spojrzęła na zegarek i powiedziała mu która godzina. W tej szufladce było dużo różnych szpargałów. Zegarek leżał na wierzchu i bardzo możliwe, że ten człowiek dobrze wiedział co to za zegarek. I chyba nic dziwnego, że gdy odsunął szufladkę z myślą, że tam jest zegarek, dość głośno, ale bezmyślnie krzyknął: „A zegarek, gdzie jest?”, nie zdając sobie sprawy, że się zdemaskował. Drugiego tato rozpoznał po głosie, ale to mógł zachować tylko dla siebie, bo innych dowodów nie miał. Tato zgłosił to na policję. Podał też, jakie rzeczy zostały zrabowane, a także pewne dane, gdzie te zabrane rzeczy mogą się znajdować. Bardzo długo nie było żadnych wieści na ten temat. Przy jakiejś okazji, jednak dwóch z tych rabusiów podpadło. Zrobiono u nich rewizję i okazało się, że kilka naszych rzeczy było tam i wróciły do nas.

Chcąc zakończyć opis tego przykrego wydarzenia muszę jeszcze dodać, że ostatecznie dowiedzieliśmy się, że tej nieszczęsnej nocy było pięciu ludzi zaangażowanych w tę akcję. Okazało się, że tylko jeden z nich przeżył całą drugą wojnę światową. Pozostałych czterech zbrodnia kary nie uszła, zginęli. Dwóch z nich Niemcy aresztowali za inne bardzo haniebne przestępstwo, o którym nie mogę pisać, gdyż obejmuje to pewna tajemnica. Byli osadzeni w

bardzo ciężkim więzieniu w Lublinie, w tak zwanej „baszcie”. (miałem okazję po wyzwoleniu przebywać w tej baszcie przez dwa tygodnie, tylko już w zupełnie innych warunkach) Później z tej baszty wzięli ich jako zakładników i rozstrzelali. Do dziś jest tablica pamiątkowa na miejscu, gdzie byli zabici. Rozstrzelano wtenczas 30 osób, między nazwiskami tych osób są nazwiska dwóch naszych bandziorów. Drugich dwóch chociaż byli na wolności, wiem, że też zginęli, ale nie pamiętam w jakich okolicznościach. Ten człowiek, który też był koło naszego domu w czasie akcji, jeden z pięciu, to był człowiek z tej wypychówki, o której wielokrotnie wspominałem. Ci rabusie idąc do nas przechodzili koło jego domu, zaszli do niego, obudzili go, kazali się ubrać i pod karabinem kazali mu prowadzić do Szpunara Michała, udając, że nie znali do nas drogi, że są obcy. Człowiek ten wystraszony, pod przymusem przyprowadził ich do nas i stał pod ścianą domu. Ten, który go pilnował, co był na obstawie też był w kominiarce. Było bardzo ciemno, więc ten nasz człowiek nie mógł go rozpoznać. Drugi, który też był jakby na obstawie, nie miał kominiarki, ale cały czas trzymał się z dala od tego przewodnika i nie odzywał się. Koło domu też stali daleko od siebie. Ten bez kominiarki był na tyle, że tak powiem głupi, że zaglądał przez wybite okno, co się dzieje i powiedział kilka głupich słów. Ponieważ w mieszkaniu paliła się lampa i chociaż to było słabe światło, jednak w ciemną noc rzucało blask na zewnątrz. Tym bardziej, że szyba była wybita to blask padał jaśniejszy i oświetlił twarz zagląającego bez kominiarki. Przewodnik zauważył to, i choć z dala i ukradkiem rozpoznał tego głupka bez cienia wątpliwości, jak to później opowiadał. Po dłuższej chwili ten fakt się potwierdził, ale tego faktu papier nie wytrzyma, więc zostanie tajemnicą. Skąd to wiem? Otóż ten przewodnik przez wiele, wiele lat utrzymywał w tajemnicy to, co widział i słyszał. Jak później opowiadał, zagrozili mu, że jeżeli komukolwiek coś powie o tym wydarzeniu, co widział, to zginie. Być może przypuszczali, że może się czegoś domyślił albo coś zauważył, dlatego mu zagrozili. Chociaż ten człowiek już wiedział, że wszyscy czterej bandziory nie żyją, ale żyły ich rodziny. Obawiał się zemsty. Dopiero na kilka dni może dwa tygodnie przed śmiercią uchylił rąbka tajemnicy, nie rodzicom, ale mnie, z prośbą żeby to pozostało w naszym domu, a on będzie miał czyste sumienie. To był bardzo uczciwy człowiek, dlatego można było mu wierzyć. Przepraszał, że ich przyprowadził, że musiał. Powiedziałem mu, że nikt nie będzie miał do niego żalu, rodzice to rozumieją, takie były czasy. Ja też długo trzymałem to w swojej tajemnicy. Nie chciałem robić rodzicom przykrości, wspominając stare dzieje. Ale pewnego razu doszło do tych wspomnień, przy okazji nieco podobnego wydarzenia, ale w innych okolicznościach. Obrabowali sklep w osadzie. W nocy przyszło dwóch w kominiarkach do domu do sprzedawcy. Zmusili go do wydania kluczy do sklepu. Otworzyli, zabrali, co chcieli i poszli sobie. Mieli ze sobą krótką broń. To wydarzenie przywołało stare wspomnienia. Zapytałem tatę, czy pamięta ten fragment (który pozostaje w tajemnicy). Odpowiedział, że tak. Opowiedziałem wtenczas tatowi całą historię tych wydarzeń. Tato nie był zbytnio zaskoczony, bo sam wcześniej snuł takie same przypuszczenia.

Kiedy Niemcy weszli dość daleko w głąb Rosji, wprowadziło się do nas, to znaczy na naszą kolonię i inne wioski, kilka rodzin ruskich, niemieckiego pochodzenia, tzw. Volksdeutsche. Większość gospodarzy z naszej kolonii wysiedlono, a na to miejsce osiedlono te ruskie rodziny. Wszystką ziemię należącą do kolonii oddano do dyspozycji tych ruskich. Myśmy też pozostali w swoim domu. Tylko rodzice musieli chodzić do pracy w polu do ruskich. Każda z pozostałych na miejscu rodzin mogła mieć tylko mały ogród na warzywa. Ci ruscy zaraz założyli kołchoz - taką wspólną gospodarkę, bo oni nie znali indywidualnych gospodarstw. Ziemię zaorali wszystką razem. To, co było zasiane jeszcze przez naszych gospodarzy zbierali już razem. Potem dzielili się tymi zbiorami, także i naszym ludziom coś dali za pracę. W pracy zapisywali dniówki, tzw. „trudodni” i potem według tego rozliczali w naturze. Tylko bydło każdy miał swoje u siebie, bo nie było ani żadnych obór, ani pastwisk do wspólnego użytku. Z naszych rodzin też każdy mógł trzymać jedną krowę, ileś kur, jedną

świnie, owcę czy kozę. Tylko konie należały do ruskich. Nasi ludzie musieli tymi końmi pracować na polu. Ci ludzie, którzy zostali wysiedleni, musieli zostawić cały swój dobytek, ze sobą mogli zabrać tylko pościel, ubrania i żywności ile dali rady. Mogli zgłaszać się do takiego biura pracy (Arbeitszeit) i za pośrednictwem tego biura mogli wyjechać do Niemiec do pracy. Kto nie chciał wyjechać, mógł sobie iść, gdzie chciał. Moja ciocia, mamy siostra, wyjechała z całą rodziną- mąż i trójka dzieci i byli bardzo zadowoleni. Było im bardzo dobrze. Niemcy dobrowolnych robotników lepiej traktowali jak przymusowych.

Nad tymi naszymi kołchoźnikami miał nadzór taki „Dorffurer” główny komendant, który został nadany do naszej gminy. Niemiec w randze kapitana, wysoki, dobrze zbudowany, o wadze 140 kg . Dobrze rozumiał polską mowę, ale nie zdradzał się, zawsze miał ze sobą tłumacza. Wiadomo jednak było, że dobrze wszystko rozumie. Był bardzo złym człowiekiem, zawsze miał ze sobą leszczynową laskę dość grubą i za byle co bił jak popadło, bez litości. Bardzo często objeżdżał podległe mu tereny. Jeździł bryczką w dwa konie. Powoził mu polski człowiek. Najczęściej jeździł sam, tylko z woźnicą, a czasami brał ze sobą jednego żandarma. Miał ich na swojej placówce sześciu, jako jego ochrona.

Pewnego razu w czasie żniw, ludzie pracowali blisko naszego domu. Właściwie na naszym byłym polu. Mężczyźni kosili kosami pszenicę, a kobiety podbierały i wiązały w snopki. Moja mama tego dnia nie wyszła na pole, bardzo źle się poczuła. Być może z tego powodu, że na naszym polu pracowali. Akurat w ten dzień przyjechał ten „szef”, jak go wszyscy nazywali. Miał też przezwisko albo pseudonim „Gruby”. Brygadzista rusek zaraz zameldował, że jedna kobieta z tego domu, wskazała ręką na nasz dom, nie wyszła do pracy. Ten bez namysłu wszedł do mieszkania i już w drzwiach zaczął krzyczyć: „Warum du nicht gehst nach Arbeit (Dlaczego ty nie idziesz do pracy)?”. Mama leżała w łóżku. Brat i ja byliśmy koło niej. On trzymał w ręku podniesiony kij, ale jak zobaczył, że mama leży w łóżku, opuścił kij i zapytał: „Was ist das (Co to jest)?”. Mama dobrze zrozumiała i to co krzyczał i to jego pytanie i odpowiedziała po niemiecku: „Bitte Her, ich bin krank, meine Herz ist krank. (Proszę pana, jestem chora, moje serce jest chore i boli)”. Spojrzał na mamę jakby trochę zdziwiony, że mama odpowiedziała mu po niemiecku. Podszedł do mamy, wziął za rękę, za puls, posłuchał i powiedział: „Ja, ja, das ist (tak, tak, tak jest)” - i dodał po polsku – „Proszę leżeć”, i uśmiechnął się, jakby chciał pokazać, że on też umie po polsku.

Wyszedł z mieszkania i nakazał temu brygadziście, że ta kobieta naprawdę jest chora i żeby nie zmuszał jej do roboty, aż wyzdrowieje. Mama chyba trzy dni nie poszła do roboty. Taty nie było w domu, bo też pracował w innej pracy, właśnie u tego „Grubego”, koło placówki, koło gminy.

Tutaj znowu pojawia się wątek historii wydarzeń niezbyt przyjemnych, których nie sposób przemilczeć. Muszę się trochę cofnąć w czasie. Wszystkie wydarzenia tak się ze sobą zająbiają, że jedno bez drugich nie stanowiłyby całości. Na pewno niektóre wydarzenia już mi się zatarły w pamięci i nie będę w stanie ich odtworzyć. Niektóre jednak bardziej drastyczne utrwaliły się głębiej i dają się jeszcze przywołać. Już o tym wcześniej wspominałem, że tato zajmował się garbowaniem skór futerkowych. Podczas okupacji było bardzo duże zapotrzebowanie na skórę obuwniczą. W sklepach butów nie było, a jak się nawet pojawiły to były bardzo drogie i w ogóle trudno było dostać. Więc tato pokusił się na garbowanie skór na obuwie. Na początku robił to starym, naturalnym sposobem, używając do tego garbników roślinnych. Do tego była używana kora dębowa, świerkowa czy wierzbową. Kiedy Niemcy weszli w głąb Rosji, to kursowało dużo pociągów z Niemiec do Rosji i pomimo wojny i okupacji handlarze przemycali do Polski z Niemiec bardzo wiele towarów, których u nas w ogóle nie znano.

Między innymi, pojawiły się na rynku chemikalia do garbowania skór obuwniczych. Te chemikalia miały te zalety, że wielokrotnie skracały czas procesu garbowania i drugie, że skóry były o wiele lepszej jakości, szlachetniejsze na wygląd i

bardziej podatne do wyrobienia obuwia przez prywatnych szewców i takie skóry były bardziej cenne. Tato bardzo szybko opanował tę technologię i skóry mu dobrze wychodziły, więc dobrze na tym zarabiał. Ten proceder był jednak bardzo ścigany przez Niemców. To wszystko było robione po kryjomu. Jednak stare przysłowia są zawsze aktualne i jedno z nich tu się sprawdziło, że „ściany uszy mają”. Jakiś szczerzy człowiek doniósł do Niemców, jeszcze jakiś czas przed Grubym, że tato garbuje skóry obuwnicze. Można było jednak na własny użytek garbować domowym sposobem skórki z królików, z kota. Tato zawsze miał takie skórki pod ręką, a mama miała pozaczynane szyte ze skórek czapki dla nas, chłopaków i rękawice, zarękawki dla mamy.

To wszystko było tylko pozaczynane, że w razie czego można było się tłumaczyć, że tak, robię na swój użytek i tego nie ukrywam. Dwa razy przychodzili Niemcy i ta sztuka się udała, ale za trzecim razem przyszło trzech, (zawsze przychodzili we dwóch) z nakazem rewizji. Tato wtenczas był bardzo zaziębiony i leżał w łóżku chory. Drugie łóżko było ładnie zaścielone. Na wierzchu leżały haftowane poduchy, a pod pościelą były schowane gotowe skóry obuwnicze. W tym niewykończonym pokoju, leżały oparte o ścianę, tak na ukos, szerokie deski przekładane pasami grubej skóry podeszwowej, niedawno wyjętej z prasy. Prasa była rozebrana, nie było po niej ani śladu. Ci Niemcy, dwóch było tych, co wcześniej, trzeci nieznan, taki bardzo nastawiony na rewizję. Jeden z tych dwóch pierwszych możliwie mówił po polsku. Pozostali nie umieli, więc ten im tłumaczył. W ogóle nie zwracali uwagi na te futerkowe sprawy, pokazali nakaz rewizji. Tato pomyślał, że teraz to już koniec zabawy w chowanego. Spojrzeli z mamą po sobie. Trudno. Co będzie to będzie.

Pierwsze, ten trzeci, kazał tatowi zejść z łóżka. Powyrzucał z łóżka wszystko- pościel, słomę, tekturowe podkłady- do samych desek. Spojrzał pod łóżko. Tam też nic z tych rzeczy nie było. Zajrzał pod zaścielone łóżko. Też nic nie znalazł. A tego zaścielonego łóżka nie odkrył. Był raczej przekonany, że jakby było coś schowane w łóżko, to w to, na którym tato leżał, udając chorego. Po prostu nie dopuścił myśli, że w łóżku tak dostępnym, na widoku, gdzie jednym pociągnięciem za pościel można było odkryć cały magazyn skór, to też tego nie zrobił. Zaglądał po wszystkich kątach. Wszędzie: na piecu, pod piecem, nawet zajrzał do pieca chlebowego i nie znalazł. Ci dwaj weszli do tego niewykończonego pokoju. Przewracali te deski razem ze skórą i nie zwrócili uwagi, że między deskami jest skóra. Oni szukali całych skór, a to były pasy grubej skóry do niczego nie podobne. Trzeba byłoby znać się na tym, żeby to zauważyć. Wyszli też na strych, tam wisiały na sznurze skórki z królików, ale to ich nie interesowało. Zeszli na dół. Chwilę podyskutowali między sobą i pomału poszli, jakby czuli jakiś niedosyt.

Ten jednak, co umiał po polsku wrócił się. Wszedł do mieszkania. Usiadł koło taty na ławce. Tato już znowu leżał w łóżku. Ten Niemiec był ze śląska, i dlatego mówił po polsku. Kiedyś wcześniej z tatą się już spotkał, nie pamiętam w jakich okolicznościach, już się z tatą trochę znali. Kiedy usiadł koło taty, powiedział tak: „Słuchaj Michał, ja nie chcę ci zrobić krzywdy. Chcę ci powiedzieć, że mamy konkretny donos, że robisz skóry i nasi ci nie darują. Wywrócą dom do góry nogami i znajdą i pójdiesz do lagru, a tam wiadomo, możesz zginąć. Ja cię nie zdradzę, ale powiedz mi czy naprawdę robisz skóry i czy masz je w domu i przyrzekam ci, że jak pozbędziesz się tego z domu i skończysz z tą robotą, to nikt więcej do ciebie nie przyjdzie, a kto doniósł, to mu się dobrze dostanie. Szkoda mi ciebie i twojej rodziny, nie chciałbym patrzeć na waszą krzywdę.” Tato pomyślał chwilę, pomodlił się w duchu i powiedział: „Dobrze, szczerze za szczerze, ale pamiętaj, śmierć mnie i mojej rodzinie...” „Powiedziałem, że nie zdradzę”- przerwał tatowi. Więc tato zaryzykował i powiedział mu: „Tak, robię i mam skóry, choć, to coś ci pokażę.

Tato zarzucił coś na siebie. Weszli do tego niewykończonego pokoju i tato pokazał mu te skóry w deskach i powiedział: „Mieliście to w rękach i nie wiedzieliście, co to jest.” Mam też gotowe skóry całe, ale tego ci nie pokażę, tylko ci przyrzekam, że tak szybko, jak to

będzie tylko możliwe pozbędę się ich i więcej nie będę robił. To wszystko co mam ci do powiedzenia.” Niemiec podał tatowi rękę mówiąc: „O to mi się rozchodziło, a teraz nie bój się, wszystko będzie dobrze.” I faktycznie nikt w tej sprawie więcej się nie zjawiał.

Później, kiedy nastał Gruby, wezwał tatę do siebie i powiedział: „Wiem, że garbujesz skóry i futerkowe i obuwnicze.” Tato zaczął tłumaczyć się, że teraz już nie robi, a on powiedział: „i to też wiem, że teraz nie robisz, ale chcę żebyś u mnie założył warsztat i robił skóry dla mnie. Dostaniesz kartki żywnościowe, nie będziesz chodził do pracy w polu, tylko będziesz pracował u mnie. Wiem też jakiego jesteś wyznania i wiem, że mnie nie zawiedziesz, bo inaczej, to...” i pokazał na pistolet w kaburze.

Tato nie miał wyboru, chcąc nie chcąc zgodził się na to, wyjaśniając, że do tego potrzeba sprzętu, chemikaliów, a chemikalia trudno dostać. No i skóry surowe, a ja skór nie mam. Oczywiście rozmawiali przez tłumacza, a on wsłuchiwał się w każde słowo, co tato mówił, bo dobrze wszystko rozumiał, tylko udawał, że nie rozumie. W końcu powiedział tatowi, że skóry już ma, pomieszczenie też, a chemikalia tato miał spisać jakie są potrzebne i on o wszystko się postara. Co do sprzętu to powiedział, ty wiesz, jaki ci sprzęt jest potrzebny, robiłeś przecież, to musisz sam się postarać. Jutro przychodź do pracy i jak najszybciej staraj się zacząć.

Gruby wstał i powiedział: „a teraz obejrzyś pomieszczenia na warsztat.” Było takie gminne zaplecze gospodarcze, między innymi, było dość spore pomieszczenie murowane. Okno było zakratowane, drzwi mocne, wewnątrz okute blachą, dobry zamek, to był przedwojenny areszt policyjny. Drzwi były zakluczone. Gruby otworzył i powiedział: „tu będzie główny warsztat”. Tato odezwał się półzartem: „To znaczy, że ja będę tu zamykany, jak w areszcie, to przecież jest areszt?” Gruby roześmiał się od ucha do ucha. Poklepał tatę po ramieniu i oświadczył: „Nie bój się nie będziesz zamykany, dostaniesz klucz i będziesz zawsze zamykał to pomieszczenie, żeby mi kto skór nie zniszczył, albo nie ukradł”. Gruby zaprowadził go do jeszcze jednego pomieszczenia, a w nim już była spora ilość skór z różnych zwierząt. Z królików, zajęcy, były też skóry z cieląt i z owiec. Widać było, że już sobie dobrze wszystko zaplanował. Tato, jak zobaczył te skóry, to pomyślał, że tu już się nijak nie wykręci. Trzeba będzie naprawdę wziąć się do roboty. Umówili się, że tato ma przychodzić do pracy na ósmą i obowiązkowo ma pracować osiem godzin, a jak trzeba będzie pracować dłużej to już jego sprawa.

Tato wrócił do domu bardzo zmieszany i zmartwiony. Opowiedział mamie, co zaszło, trochę podyskutowali nad tym wszystkim i doszli do wniosku, że widocznie to będzie dla nas najlepsze. Nie wiadomo było jak się losy wojny potoczą, a przecież żyć jakoś było trzeba. Tu chcę dopowiedzieć, że kiedy Gruby był u mamy, jak była chora, nie wiedział jeszcze, że to jest żona Michała. Gdy się dowiedział, mama też nie musiała chodzić do roboty w polu. Mogła dopilnować swojego ogrodu i domu. To znowu sąsiedzi jej zazdrościli.

Na drugi dzień tato poszedł na ósmą do pracy. Zameldował się u Grubego, dostał klucz do tego aresztu, a po pracy klucz miał zostawiać na dyżurce żandarmerii. Pierwsze tato poprosił o furmankę, żeby przewieźć niektóre sprzęty. Gruby polecił furmanowi ze stójki, żeby pojechał z tatą i przywieźli trochę rupieci na początek. Chcę tu wyjaśnić, że nazwa „stójka” pochodziła od tego, że codziennie od rana do wieczora, a czasami i w nocy stała przed tą placówką furmanka i woźnica. Kiedy jakiś pracownik albo żandarm potrzebował gdzieś jechać, to korzystał z tej furmanki. A jak nikt nie potrzebował jej, to stała cały dzień, stąd nazwa „stójka”.

Tato podał Grubemu spis potrzebnych chemikaliów. Tłumacz przetłumaczył i Gruby natychmiast zatelegrafował do Niemiec i po kilku dniach przyszła pocztą paczka. Duża paczka wszystkich zamówionych chemikaliów.

Tato pierwsze wziął się za skórki futerkowe. To było najprostsze podejście, a że to były skóry suche, to musiał je zamoczyć w beczce, którą przyniósł z domu. Jakiś czas musiały

namoknąć, a tato w międzyczasie przygotował zaplecze do tej garbarni. Powiedział Grubemu, że potrzebuje materiału, desek, gwoździ itd. Materiał był po ręką, ale tato nie chciał sam się rozporządzać, więc mówił Grubemu. Gruby powiedział: „wiesz, co ci potrzeba, masz pod ręką to bierz ile i co ci potrzeba i więcej nie pytaj, byle robota szła”.

Tato miał trochę narzędzi stolarskich. Przyniósł je do pracy, zrobił sobie duży, mocny stół. Ładnie go oheblował, ławę i inne niezbędne rzeczy. Gruby prawie codziennie przychodził popatrzeć, jak prace się posuwają. Kiedy zobaczył, że tato tyle rzeczy sam zrobił, pochwalił go, że dobra robota i dodał: „widzę, że dobry z ciebie pracownik i fachowiec”. Wcale to tatowi nie schlebiało, ale lepsze było to, niż jakaś nagana.

Gruby strasznie nie cierpiał, jak ktoś beczynnie siedział w pracy. To też tato zawsze miał coś pod ręką do zrobienia, choć nie było potrzebne, ale w razie czego to zawsze coś robił. Tato gdzieś wypatrzył dębowe beczki po piwie. Powybijał górne denka i już miał niezbędne naczynia do skór na obuwie. Kiedy już te pierwsze skóry futerkowe wywiesił do suszenia, po wszystkich mokrych zabiegach, Gruby powiedział: „teraz widzę, że coś z tego będzie, bo do tej pory to było tylko dużo smrodu”.

Wreszcie tato wziął się do garbowania skór obuwniczych. Tu trzeba było bardzo ostrożnie i dokładnie się pilnować, bo przy garbowaniu chemicznym można było bardzo łatwo zniszczyć skóry przez nieodpowiednie dawkowanie, czy przedłużenie procesu garbowania. Toteż tato z ołówkiem i zegarkiem w rękę sprawdzał, żeby nie popełnić jakiegoś błędu i nie popsuć sprawy. W międzyczasie futerkowe skórki wyschły. Tato je wyczyścił. Wykonał wszystkie niezbędne zabiegi kosmetyczne i okazało się, że wyszły bardzo dobrze. Tato użył jeszcze jakiegoś olejku, który neutralizował zapach skórzany i nadawał przyjemny, naturalny zapach.

Kiedy Gruby dostał do rąk te gotowe skórki, to były skórki z królików, z zajęcy i jedna z dużego, burego, cętkowanego kota, była bardzo piękna, to pierwsze nie mógł się nadziwić, że można prostym sposobem otrzymać taki piękny towar. Przytulał je do twarzy, owijał ręce, wąchał, że tak przyjemnie pachną i powiedział do taty: „Jak ty to robisz?”

Tato uśmiechnął się i zażartował: „nie powiem, to tajemnica zawodowa”. Niemiec zrozumiał żart i też się roześmiał. Podał tatowi rękę, co się nie zdarzało u niego, żeby Polakowi podał rękę. Podziękował i powiedział, że się nie spodziewał aż takich efektów. „Rób tak nadal, a wszystko będzie dobrze.” Dał tatowi dodatkowe kartki żywnościowe. Gruby zaraz zapakował skórki w paczkę i wysłał do rodziny do Niemiec. Skóry obuwnicze też wyszły dobrze, bo tato tylko tym się zajmował, więc dobrze dopilnował wszystkiego i udało się. Gruby znowu dziwił się, że można bez fabryki takie skóry wyprodukować.

Myślę, że to już dość tych skór i tego garbowania, bo I mnie to zaczyna już nudzić. W naszej szkole nastąpiła przerwa, lekcji nie było, więc nie chodziłem do szkoły. Mnie się tak bardzo nie przykryło za szkołą, trochę mi było szkoda niemieckiego, lubiłem ten przedmiot, bo coraz więcej można było rozumieć Niemców, czy w razie potrzeby dogadać się. Mama jednak bardzo chciała żebym się uczył. Było co prawda gdzieś w osadzie tajne nauczanie, ale dla nas było to zbyt ryzykowne. To było prowadzone przez podziemną organizację AK i nie chcieliśmy z nimi mieć kontaktów. Kiedy mama nie musiała już iść do pracy, postanowiła wywieść mnie do Łańcuta, do swojej siostry i tam mnie wkręciła do szkoły.

Zanim się do Łańcuta dostałem to kilka razy jeździliśmy z mamą do cioci pociągiem. Pociąg był bardzo tani, a na pocztę nie było co liczyć, żeby się z ciocią porozumieć. Listy chodziły tygodniami. Mama nie chodziła do pracy, tato dobrze sobie sam radził, to ja z mamą mogliśmy jechać. Trochę było daleko do pociągu, 12 km trzeba było iść pieszo. Mama była jeszcze silna, a ja już byłem na tyle silny, że jakoś sobie radziliśmy. Pierwszy raz pojechaliśmy uzgodnić z ciocią, czy mógłbym u niej zamieszkać, i rozejrzeć się czy będzie możliwe dostać się do szkoły. Drugi raz jechaliśmy dowiedzieć się, jak sprawa ze szkołą wygląda, a trzeci raz już jechaliśmy z bagażami. Za tym trzecim razem, przeżyliśmy z mamą

straszne wydarzenie. Po prostu koszmar nie do opisania, ale też I nie do zapomnienia. Potężna machina Holocaustu pracowała już na pełnych obrotach. Toteż Niemcy bardzo często robili obławy na Żydów. Kiedy pociąg wjechał na stację w Łańcucie, okazało się, że stacja jest dookoła otoczona wojskiem. Przed budynkiem stacji, od strony miasta stała duża grupa ludzi, też otoczona wojskiem. Wysiedliśmy z pociągu, idąc przez budynki stacji, też musieliśmy wejść między tę grupę ludzi. Niemcy dokładnie wszystkich sprawdzali, dokumenty, bagaże, przyglądali się dokładnie każdej osobie. Podejrzanych zabierali do budynku stacji na przesłuchanie. W pewnej chwili wyprowadzili z budynku młodą kobietę z chłopcem, może trochę młodszym ode mnie. Kobieta ta była Żydówką i jej synek, to byli typowi Żydzi. Kobieta piękne czarne włosy, całe w lokach, duże oczy. Ten synek też miał kręcone czarne włosy. Wcześniej, kobieta miała dużą chustkę na głowie, to nie było tak widać jej urody, chłopiec miał czapkę I też nie rzucał się w oczy. Jednak Niemcy zaraz ich podejrzewali, tym bardziej, że nie mieli żadnych dokumentów I wzięli ich na przesłuchanie. Kiedy ściągnęli z niej chustkę, a chłopcu czapkę, to nie mieli już żadnych wątpliwości z kim mają do czynienia. Więc wyprowadzili ich. Jeden z SS-manów wziął ich przed siebie. Przeprowadził przez ten kordon wojska. Wszyscy patrzyliśmy co on z nimi robi. Gdzie ich poprowadzi. A on podprowadził ich może 200 metrów pod takie krzaki, prowadząc ich pistolet miał w ręku, pod tymi krzakami oddał 2 strzały I oboje upadli twarzą w te krzaki. SS-man wrócił jakby nigdy nic i czekał na dalsze ofiary. To było straszne, przerażające dla nas.

Podczas naszej rewizji Niemcowi nie podobały się moje bagaże. W nich były moje ubrania, bielizna, pościel, no i niezbędne rzeczy szkolne. Książki, zeszyty I inne niezbędne rzeczy szkolne. Toteż mamę I mnie też wzięli na przesłuchanie. Ja się bardzo przestraszyłem, jak ten SS-man postrzelał tych dwoje I bardzo się trząsałem, I to też było powodem do podejrzania. Mamie jeszcze wcześniej w domu ktoś mówił: „Ty uważaj, bo jesteś bardzo podobna do Żydówki, jeszcze wpadniesz”. Mama wtenczas żartowała: „Bo jestem duchową Żydówką”. Ale tu by się wnet źle skończyło. Mama miała bardzo ciemne włosy I też w kędziory, też miała chustkę na głowie. Niemiec zaraz ściągnął chustkę z głowy I krzyknął: „Das ist Judin! Das ist Judin! (To jest Żydówka!)” Żydzi posługiwali się językiem Jidysz bardzo podobnym do niemieckiego, a mama odpowiedziała mu po niemiecku: „Bitte Her, ich bin nicht Judin, ich bin Polin”- i dodała: „ Bitte meine kentkarte und arbeitkarte.” (Proszę pana, ja nie jestem Żydówką, ja jestem Polką, proszę tu moja kentkarta i karta pracy.) To przesłuchanie polegało na tym, że jeden przesłuchiwał i zapisywał przesłuchanie, podawał drugiemu, drugi też przesłuchiwał i sprawdzał czy odpowiedzi się zgadzają z pierwszą wersją. Tak trzeci I czwarty. Potem wracało do pierwszego I on decydował czy wypuścić czy nie. Najbardziej mu się nie podobało to, że ja się cały czas trząsałem ze strachu. Wreszcie tłumacz zapytał mnie, czego się tak boję. Powiedziałem, że pomyślałem sobie, że po kolei wszystkich będą strzelać. Dodał: „To nie jesteście Żydami?” Powiedziałem; „Nie”. „Zdejm czapkę”. Zdjąłem. A ja miałem bardzo jasne włosy i proste. Ten pierwszy, co przesłuchiwał powiedział przez tłumacza: „Pokażcie jeszcze bilety, skąd przyjechaliście”. Na szczęście mama miała jeszcze bilety i pokazała. Jeszcze raz wyjaśniła, że w naszej miejscowości szkoła nieczynna, a ja chcę się uczyć i przyjechaliśmy do siostry i tu będę chodził do szkoły. Mama podała adres do cioci. Zapisał I mówił, że sprawdzi. I wreszcie nas wypuścił. Innym wyjściem na miasto, wartownikom kazał nas przepuścić do miasta.

Jeszcze teraz mi się włosy na głowie podnoszą, jak to piszę. To było bardzo przykre przeżycie. Po nocach śniło mi się to zajście i mama też nie mogła się opamiętać po tym wydarzeniu. Zaszliśmy do cioci tak wystraszeni, że ciocia aż krzyknęła: „Laboga, co się stało?” A myśmy nie byli w stanie nic mówić. Po chwili, trochę się uspokoiiliśmy, jak mama wszystko cioci opowiedziała, to mina cioci też zrzędła. Ale ważne, że wszystko dobrze się skończyło.



Ciocia miała dobrze znajomego profesora, który był dyrektorem jednej ze szkół w Łańcucie i dostałem się do tej szkoły. Niedługo jednak do niej chodziłem, bo też wojsko zajęło tę szkołę, a uczniowie rozproszyli się po różnych innych szkołach. Ja dostałem się do szkoły na przedmieściu, 20 minut drogi miałem. W nauce szło mi dobrze, ale w szkole zaczęły się problemy innego rodzaju. W szkole była obowiązkowa religia, początkowo zostawałem na religię. Ale ja byłem zawsze „w gorącej wodzie kąpany”. Zawsze się zgłaszałem do odpowiedzi, kiedy był jakiś biblijny temat. Uczniowie o biblijnych sprawach prawie nic nie wiedzieli. Ja z kolei Biblię już dość dobrze znałem, bo właściwie na Biblii nauczyłem się dobrze czytać drukowane pismo. Toteż prawie na każde pytanie księdza, ksiądz prowadził lekcję, miałem odpowiedź. Początkowo ksiądz był ze mnie zadowolony. Stawiał mnie za przykład. Ale to nie trwało zbyt długo, Koledzy dopytywali się: „Skąd ty tyle wiesz?” Odpowiadałem: „z Biblii”. „A gdzie ją można dostać?” Powiedziałem: „Mogę się postarać”. Były już w obiegu pojedyncze cztery ewangelie i nowe testamenty mały format. Część mojej rodziny, była adwentystami. Mieszkali 18 km od Łańcuta, więc od nich dostałem sporo tej literatury. Przynosiłem po kilka sztuk do szkoły i rozdawałem kolegom. Wreszcie dotarło to do księdza, a był to człowiek bardzo ordynarny i nawet z wyglądu niesympatyczny. Pewnego razu, przyszedł do klasy bardzo zdenerwowany, I z wielką złością powiedział zwracając się do mnie: „Zabieraj, co twoje I chodź ze mną.” Byłem bardzo wystraszony, a zarazem zdziwiony co się dzieje. Wyszliśmy na korytarz. On wziął mnie za ramiona. Był wysoki, dobrze zbudowany, był zawsze bardzo czerwony na twarzy, a teraz ze złości to był aż siny, potrząsnął mną I krzyknął: „Kto ci pozwolił tą herezję rozdawać uczniom?!” I pokazał mi nowy testament i te pojedyncze ewangelie. Choć bardzo byłem przestraszony, odpowiedziałem mu: „Co w tym złego? Przecież tu pisze to, co omawiamy na lekcjach.” On się jeszcze bardziej rozsierdził, uderzył mnie w jeden policzek, potem w drugi, aż się zachwiałem na nogach i odskoczyłem od niego. On wtedy wrzasnął: „Wynoś się i więcej do szkoły nie przychodź!” Oczywiście, nie poszedłem do domu, tylko do dyrektora. Opowiedziałem co zaszło, dyrektor pokręcił głową i powiedział: „Ja z księdzem porozmawiam, a ty przychodź do szkoły tylko nie zostawaj na religii.” I tak też robiłem.

Zima z '43 na '44 była bardzo ciężka. Było bardzo dużo śniegu, więc lekcje były na jakiś czas odwołane. Magistrat potrzebował dużo ludzi do odśnieżania drogi, dobrze płacili za tę pracę, więc zmówiliśmy się w kilku mocniejszych chłopców i poszliśmy do magistratu, to był taki urząd miejski, zgłosiliśmy się do odśnieżania i przyjęli nas. Dali nam szufle i takie kartki do podpisania z nazwiskiem. Pracowaliśmy na drodze Łańcut- Rzeszów, na tym odcinku pracowało kilkaset osób. Pod koniec dnia, chodził taki człowiek z urzędu. Podpisywał tę kartkę stawiał pieczętkę. Po pracy trzeba było oddać szufłę i od razu wypłacali na podstawie tej kartki. Pamiętam, że płacili po 20 zł na dniówkę. Jak dla mnie były to spore pieniądze. Parę dni była ładna pogoda, choć mroźna, do 20 stopni minus, w dzień było nieco ciepłej. Droga Łańcut- Rzeszów została oczyszczona. Przejechały wojskowe samochody. A my zostaliśmy bezrobotni, ale nie na długo. Znowu nadciągnęły śnieżycy i silny wiatr, i w jedną noc z naszej ciężkiej pracy nie zostało ani śladu. Zasypało jeszcze wyżej, jak poprzednio. Po przejściu burzy śnieżnej, akcja odśnieżania ruszyła od nowa.

Muszę się nieco zatrzymać, cofnąć się w czasie, bo umknęło mojej uwadze pewne bardzo przykre wydarzenie, które chociaż nie dotyczyło mnie osobiście, ale którego musiałem być świadkiem, a które wywarło na mnie straszne wrażenie. Na przedmieściu Łańcuta mieszkała dalsza rodzina ze strony mojego taty. Uczęszczałem do jednej klasy z jednym chłopcem z tej rodziny, był w moim wieku, obaj przyjaźniliśmy się. To wydarzenie miało miejsce w wakacje '43 roku. Na wakacje nie wracałem do domu, do Jarczowa. Sam bałem się jechać, a mama, po ostatnim przeżyciu, wołała nie narażać się na takie ewentualne przygody. Często przebywałem, u tej rodziny z adwentystów, to były dwie rodzone siostry mamy, u nich była taka atmosfera bardziej religijna i dobrze się tam czułem. Były u nich też dzieci, moi

rówieśnicy, więc miałem z kim się kolegować. Jak już wcześniej wspomniałem, było to 18 km od Łańcuta. Chodziłem tam pieszo. W tamtą drogę było ciężko, bo droga cały czas snuła się w górę. Miejscowość ta, Husów, była na południe od Łańcuta, coraz bliżej gór. Z powrotem było lżej iść, było cały czas z góry.

W przeddzień tego przykrego wydarzenia wróciłem właśnie do Łańcuta. Na drugi dzień pobiegłem w kierunku przedmieścia do kolegi. Nagle zauważyłem dużą grupę ludzi i dużo wojska, chciałem się cofnąć, ale żołnierz niemiecki złapał mnie za ramię, nie pozwolił się cofnąć, tylko popchnął mnie w stronę tej grupy ludzi. Przez chwilę Niemcy przyprowadzali coraz więcej ludzi, ustawili nad takim wąwozem i otoczyli wojskiem. Po chwili podjechała wojskowa ciężarówka. Wyszadzi z niej 10 mężczyzn, skutych kajdankami po dwóch. Wysiadło też 10 żołnierzy. To był pluton egzekucyjny. Z szoferki wysiadł oficer niemiecki. Tego oficera z widzenia znałem. On działał w Łańcutie i przy kilku okazjach widziałem go. Nazywał się Kokot. To był polski Niemiec, płynnie mówił po polsku. Tych więźniów ustawili pod dość prostopadłą ścianą tego wąwozu. Na przeciw nich, na parę kroków od nich, ustawili się żołnierze z tego plutonu, każdy naprzeciw swojej ofiary. Z boku stał oficer z pistoletem w ręku, jak już wszystko było ustawione, oficer głośno krzyknął po niemiecku: „Achtung! (Uwaga!)” I podniósł do góry rękę z pistoletem. W tym momencie żołnierze skierowali swoje pistolety maszynowe do więźniów, odbezpieczyli, i następnie oficer wraz z okrzykiem: „Feuer!” raptownie opuścił rękę w dół. Prawie jednocześnie zagrały wszystkie automaty. Wszystkie ofiary osunęły się na ziemię. Po chwili krew popłynęła strumykami. Wszyscy żołnierze wskoczyli do ciężarówki i odjechali. Kokot jednak nie odjechał, tylko podszedł do pobitych i ze swojego pistoletu każdemu jeszcze strzelił w głowę. On był znany jako straszny sadysta, miał na swoim koncie bardzo wiele ofiar. Mogę tu jeszcze dodać, że po wyzwoleniu został skazany na karę śmierci i wyrok został wykonany. Po tym ostatnim kosmetycznym zabiegu, Kokot głośno powiedział do wszystkich zegnanym ludzi: „A teraz wszyscy rozejść się i dobrze sobie wszystko zapamiętać”. Wojsko odstąpiło, byliśmy wolni. Ja już nie poszedłem do kolegi, wróciłem do domu bardzo błydy, wystraszony, ciocia jak mnie zobaczyła znowu wykrzyknęła: „Co się stało?” A ja nie mogłem słowa wymówić tylko się bardzo rozplakałem i przytuliłem do cioci. Po chwili trochę się uspokoiłem, i wszystko jej opowiedziałem, była tym bardzo zasmucona i powiedziała kiwając głową: „oni nas wszystkich pomału wykończą, jak Żydów”. Długo nie mogłem się uspokoić, całą noc nie spałem, a rano nawet bałem się iść do kolegi, bo trzeba było iść blisko tego miejsca. Do dziś stoi tam tablica pamiątkowa, można ją sprawdzić.

Teraz dla odprężenia, opiszę raczej inne, przyjemne wydarzenie. Niezbyt ono ważne, ale dla mnie bardzo przyjemne i pouczające. To było już tej ciężkiej zimy, o której wcześniej pisałem. Zaraz na początku zimy, jeszcze nie było tak bardzo zasypane. Drogi do wiosek były ujeżdżone saniami tak, że nieźle było iść. Nie pamiętam z jakiej racji wybrałem się do Husowa, oczywiście pieszo. W pewnym momencie już ze 3 km za miastem usłyszałem za sobą dzwonki od san. Ktoś jechał saniami. Te dzwonki wydawały mi się jakieś dziwne, zazwyczaj przy saniach był tylko jeden dzwonek. To było obowiązkowo, bo sanie jadą cicho, więc dzwonek ostrzegał. Słyszając dzwonki ustąpiłem z drogi w śnieg na pobocze, obejrzałem się, zobaczyłem jadące sanki zaprzężone w dwa piękne konie. Kiedy sanki zrównały się ze mną zauważyłem, że to nie są zwykłe sanki, tylko ozdobne załubianki. Konie też miały na sobie niepospolitą uprząż. Na szyjach miały janczary, to takie naszyjniki ozdobione kilkoma dzwonekami o różnych brzmieniach. Na sankach siedziało dwoje naprawdę już wiekowych starszków też bogato ubranych w ozdobione kozuchy. Ten pan sam powoził. Byłem zdziwiony kto to taki. Starym zwyczajem powiedziałem: „Dzień dobry” zdejmując na moment czapkę, bo było bardzo mroźno. Sanki wyprzedziły mnie kilka kroków i zatrzymały się. Starszka obróciła się do mnie i zapytała: „Dokąd idziesz chłopcze?” Ja byłem też dobrze ubrany. Miałem na głowie czapkę uszatkę z królika, ładny biały, wełniany szalik i rękawiczki.

Z tego szalika I spod tej czapki nie wiele było widać twarzy, więc podniosłem czapkę na czole do góry I odpowiedziałem: „Idę do Husowa”. Na te słowa staruszek się obrócił w moją stronę, mówiąc: „Chłopcze! Do Husowa stąd to ty masz ponad 15 km, jak ty tam dojdiesz po takim śniegu? Posłuchaj chłopcze, my jedziemy do Kańczugi. Z Kańczugi do Husowa jest 3 km, znasz tę drogę z Kańczugi do Husowa? To jest prosta droga. Wskakuj na sanki, jedź z nami, my jedziemy na przejażdżkę do Kańczugi to cię podwieziemy.” Dla mnie było to coś. Prawie 12 km mniej, więc skoczyłem z tyłu na sanki i pojechaliśmy. Jechaliśmy prawie całą godzinę, bo to było cały czas w górę więc za bardzo koni nie popędzałem. Po drodze ta starsza pani była bokiem oparta na poręczy ich wykwintnego siedzenia, obrócona twarzą do mnie, I wypytywała mnie skąd jestem, bo mój akcent był trochę inny od tutejszych ludzi. Kiedy jej wszystko pobieżnie opowiedziałem, pilnie wysłuchała, i wtenczas odezwał się ten starszy pan i zapytał mnie, czy wiem z kim jadę. Odpowiedziałem: „Przepraszam, ale nie wiem kim państwo jesteście. Bardzo byłbym wdzięczny, gdybym mógł się dowiedzieć.” Wtedy poważnie powiedział: „Jestem hrabia Potocki” Wymówił też imię, ale już nie pamiętam jakie. „A to- wskazując na tę panią- moja żona, hrabina Potocka”. Chociaż wykrztusiłem z siebie: „Dziękuję, miło mi poznać tak zacną rodzinę”, to wewnątrz myślałem, że się spalę ze wstydu. Niewiele ponad miesiąc temu, na święto zmarłych, z chłopcami kradliśmy w szklarni Potockiego chryzantemy. Myślałem sobie w duchu: „Żebyś ty staruszkę wiedział kogo wiesz, to byś mnie wywalił na zbity łeb z tych sanek i jeszcze byś biczem dołożył.” Zrobiło mi się strasznie głupio, ta pani zauważyła to moje zmieszanie i zapytała dlaczego tak się zmieszałem. Nie od razu, ale odpowiedziałem, że jestem zaskoczony, że państwo mnie zabrali, nigdy nie przypuszczałem że mnie spotka taki zaszczyt. Pani spojrzała mi prosto w oczy miłym spojrzeniem, widocznie mi uwierzyła. Po tym dała mi małą torebkę cukierków.

Na szczęście dojechaliśmy już do Kańczugi, bo miałem ochotę rozplakać się. Pan zatrzymał się, rozejrzał się po drogach, bo to było skrzyżowanie i powiedział: „wszędzie jest bardzo dobra sanna, to cię jeszcze trochę podwiozę” Skręcił w lewo, w kierunku Husowa jadąc aż już zaczynały się zabudowania husowskie. Zatrzymał się mówiąc: „A teraz wyskakuj, już jesteś jak w domu.” Zapytał czy znam te zabudowania. Powiedziałem, że znam dobrze ten teren. Pani zdjęła prawą rękawiczkę, podała mi rękę, błyskawicznie zdjąłem swoją i podałem rękę, lekko uścisnęła, a ja czułem, że ta ręka mnie parzy, taki miałem wstyd. Pani miała na palcach pierścienie złote, chyba z brylantami. Ten pan też mi podał rękę, ale w rękawicy. Pani w naszej rozmowie, mówiła, że ich świetność się już skończyła. Po pierwsze, że już są starzy, a po drugie, Niemcy już im nie pozwolą żyć tak, jak dotąd. To był największy magnat południowo-wschodniej Polski. Bardzo przyjaźnie rozstaliśmy się, ja zdjąłem czapkę, ukloniłem się, szczerze podziękowałem. Ta pani powiedziała mi: „Trzymaj się chłopcze, wszystko będzie dobrze.” Gdy zaszedłem do Husowa do cici, bardzo się zdziwiła. „O której ty wyszedłeś z Łańcuta, że już jesteś o tak wczesnej porze?” Musiałem im wszystko opowiedzieć, oczywiście nie o chryzantemach, i już było dobrze. Długo nie mogłem zapomnieć tej przejażdżki. Dlatego to wydarzenie, choć niezbyt ciekawe, zaliczam do bardzo przyjemnych wydarzeń, a zarazem do bardzo pouczających dla mnie. Od tej pory postanowiłem sobie, że już nigdy, a nigdy nie dam się namówić na najbardziej niewinną kradzież. I chyba słowa dotrzymałem.

Teraz wracam do tej ciężkiej zimy, która przede wszystkim dała się we znaki Niemcom. I chyba właśnie ta zima zmusiła Niemców do podjęcia decyzji odwrotu. Niemcy byli bardzo wściekli na każdym kroku, znęcali się, że często strach było wyjść na ulicę. Coraz częściej dochodziły wieści, że Niemcy cofają się, że Ruscy podjęli wielką kontrofensywę. Do tego dopomogła im ta ciężka zima, do jakiej Niemcy nie byli przygotowani. Także duża amerykańska pomoc dodała Roskom zachęty do walki. Amerykanie dostarczyli dużo broni i amunicji, a przede wszystkim żywności, której Roskom było brak. Więc Ruscy mieli czym walczyć, a zimy się nie bali, gdyż u nich zawsze były cięższe zimy niż te na zachodzie.

Polska partyzantka działa całą parą, paraliżowali ruch pociągów jadących na wschód dowożących na front amunicję i żywność. Partyzanci wysadzali pociągi, niszczyli tory kolejowe, szczególnie na trasie Warszawa- Lwów, w znanych nam miejscowościach, jak Łosiniec, Susiec i inne, tędy właśnie ta trasa biegnie. W ogóle nastąpił ogólny bałagan i w związku z tym, moi rodzice postanowili zabrać mnie do domu. Trudno było przewidzieć, jak się sprawy potoczą, gdzie będzie bezpieczniej, więc mama przyjechała po mnie i wróciliśmy szczęśliwie do domu.

Tato nadal pracował u Grubego, tej robocie nie było końca. Gruby z tatą dobrze się obchodził, i tak na ogół było nieźle. Było jednak coraz głośniejsze, że front jest już coraz bliżej, że nasi Niemcy też chyba będą musieli zwijać manatki. Już robiła się wiosna. Gruby, pewnego razu, wezwał tatę do swojego biura na poważną rozmowę. Zaproponował tatowi dawną śpiewkę, że ma przecież niemieckie nazwisko, niech podpisze folkslistę, że on chyba będzie musiał wyjechać do Niemiec, to nas zabierze ze sobą z całą rodziną i zapewni nam byt. Tato jednak grzecznie Mu odpowiedział, że tutaj się wszyscy urodziliśmy, jesteśmy z dziada-pradziada Polakami, i byłoby nieuczciwe tak w stosunku do Niemców jak i do nas samych udawać Niemców będąc Polakami. Więc tato odmówił, podziękował mu za szczere chęci, ale że tego nie zrobi. Gruby był bardzo niezadowolony i po tym wydarzeniu, jakoś dziwnie się zachowywał. Stronił od taty, jakoś tak podejrzliwie spoglądał na tatę i pewnego razu powiedział: „staraj się jak najszybciej te zaczęte skóry dokończyć, bo być może już więcej nie będziesz dla mnie robił, i postaraj się, żeby dobrze wyszły.” To jego zachowanie, nie dawało tatowi spokoju, przeczuwał w tym coś niedobrego. W sąsiedniej wiosce Korhynie też był Niemiec, który nadzorował swoich ludzi, też Volksdeutchy, był furerem, ale podlegał Grubemu. U niego pracował mój stryjek, brat taty. Był z tym furerem zaprzyjaźniony. Ten Niemiec dobrze rozmawiał po polsku. Pewnego dnia, stryj przyszedł do taty bardzo zmartwiony i powiedział, że furer był u Grubego i mówił, że Gruby jest bardzo zły że tata nie podpisał folkslisty. Gruby powiedział, że jak tata wykończy mu te skóry, a on będzie musiał wyjeżdżać to zastrzeli tatę, że nie zostawi Polakom takiego fachowca. Furer powiedział stryjowi: „Niech Michał wypatrzy jakąś okazję i niech ucieka z całą rodziną, bo Grubego stać jest i całą rodzinę wystrzelać.” Tu już nie były żarty, ale straszne zagrożenie, tym bardziej, że Gruby miał na swoim koncie ponad trzydzieści osób zastrzelonych na całym podległym mu terenie. Zaczęło się gorączkowe wypatrywanie jakiejś okazji do ucieczki, ale tak , żeby się przed czasem nie zdradzić. Nie była to łatwa sprawa, ale robiono w tym kierunku przygotowania. Tato wykopał duży dół w tym niewykończonym pokoju, wstawił dużą skrzynię drewnianą i włożył do niej wiele wartościowych rzeczy, jak swoje narzędzia stolarskie, maszynę do szycia, całą literaturę religijną, tomy terazniejsze prawdy, dużo ulotek i innych. Takie rzeczy, które nie można było zabrać ze sobą, a szkoda było zostawić na pastwę losu. Mieliśmy przecież nadzieję, że niedługo powrócimy do domu. Mama poszła do braterstwa Grzesików, to było od nas ponad 6 km, ta wioska nazywała się Ruda Wołoska powszechnie nazywana: „Rudka”. Mama opowiedziała jaka jest sytuacja, ci braterstwo mieli konia i wóz, mama powiedziała, że planujemy ucieczkę. Żeby, jak się nadarzy okazja pożyczyci nam konia i wozu. Że najprawdopodobniej ja przylecę dać znać i prosiła żeby nam pomogli. Braterstwo zgodzili się na to.

Wreszcie nadarzyła się taka okazja. Jednak, żeby ją wykorzystać i zrealizować swoje plany przyczyniło się wiele bardzo złożonych okoliczności. Muszę je opisać, żeby ta część wspomnień była kompletna. Ponieważ ja nie potrafię tego uprościć, więc muszę podać kilka nawet drobnych szczegółów. Otóż, w polskim podziemiu działało kilka organizacji. Taką główną siłą napędową była organizacja AK (armia krajowa) potem działała AL (armia ludowa), następnie działały BCH (bataliony chłopskie), dalej działało NSZ (narodowe siły zbrojne) i jeszcze, WiN (wolność i niepodległość) i wiele innych mniej znanych. Po stronie ukraińskiej też działało kilka organizacji ukraińskich, takie jak: UPA (ukraińska powstańcza

armia) to była też główna oficjalna organizacja narodowa, działało też kilka grup pod indywidualnymi przywódcami NP. Był taki generał „Własow”, jego grupę nazywano „własowcami”. Inny przywódca „Bulba” stąd nazwa „bulbowcy”, jeszcze inny „Bandera”- „banderowcy”, i też jeszcze inni mniej znani. Kiedy poczuli atmosferę bliskiego wyzwolenia tak polska strona jak i ukraińska. Zaczęli walczyć o wpływy na wschodnich, byłych terenach Polski. Polacy starali się utrzymać swoje pozycje na tych ziemiach. Ukraińcy za wszelką cenę chcieli przejąć pełną kontrolę, a w rzeczywistości to już ją mieli, bo Niemcy im to udostępnili. Nie chcę się tu bawić w historyka. Szczegóły tych przepychanek, a często bratobójczych walk są opisane w kilku historycznych książkach, takich jak: „Partyzancki Kraj” czy „Łuny na wschodzie” i innych. Dlatego tych szczegółów nie będę opisywał, choć wiele z nich jest mi bardzo dobrze znane. Jednak dwa wydarzenia muszę opisać gdyż miały duży wpływ na nasze dalsze losy.

Pewnej nocy, duży ukraiński oddział napadł na polską wioskę, nazywała się Łubcze. To była trzecia wioska od nas, należała pod Grubego. Ukraińcy całą wioskę spalili, a na ludności dokonali bestialskiej masakry. Wprost trudno szczegóły opisywać, poodcinane głowy, ręce, nogi, poodcinane piersi kobietom, dzieci poćwiartowane na kawałki i inne wprost nie do opisanie podłości. Skąd mi są znane te szczegóły? Rodzina szwagra mojej mamy mieszkała w tej wiosce i też została wymordowana. Szwagier mamy poszedł tam po akcji, kiedy Ukraińcy już odjechali, zobaczyć co się tam stało i on nam opowiadał o tych okropnościach. W sumie zostało zamordowanych 176 osób. Później odnaleziono jeszcze kilka osób w studniach. Były to dzieci, być może żywcem wrzucone. Rano po tej akcji. Gruby i kilku żandarmów też pojechali zobaczyć co się tam stało. Kiedy zobaczył tę masakrę, to chociaż sam nie był lepszym to jednak tak się tym przejął, że przez dwa dni nic nie wziął do ust. Tylko co raz popijał sznaps na uspokojenie. Zajrzał do taty czy jest w pracy, nic się nie odezwał, był blady, jakby wystraszony. Tato też był przerażony tym wydarzeniem, na widok Grubego jeszcze bardziej się zmieszał i też nic się nie odezwał. Gruby zobaczył, że tato jest w pracy i odszedł. Tato zastanawiał się jak się zachować, co z tego wszystkiego wyniknie. Ale za dwa, trzy dni sprawa się wyjaśniła.

Zanim jednak do tego doszło, to chcę jeszcze wspomnieć, że ci nasi gospodarze, rosyjscy Niemcy, słysząc o tych walkach i napadach polsko-ukraińskich, też nabrali strachu. Zbudowali na środku naszej kolonii, obronny bunkier z jednego budynku. Ścianę tego budynku obłożyli jeszcze jedną ścianą z jakimś odstępem, a między ściany nasypali piasku. Słomiany dach zdjęli z tego domu, prowizorycznie przykryli deskami i planekami, i na noc większość tych Niemców chroniło się w tym bunkrze. Bunkier ten stał kilometr od naszego domu. Jak już wspomniałem, nasz dom był ostatnim z kolonii i droga z południa na północ przebiegała koło naszego domu. Pewnej nocy właściwie późnym wieczorem, przyszło do nas 11 partyzantów i prosili coś do jedzenia i do picia. Powiedzieli, że chcieli by się trochę przespać, widać było, że są bardzo zmęczeni. Mama podała coś do jedzenia i picia. Tato przyniósł dwa snopki słomy, rozścielił na podłodze i oni pokładli się spać tak jak byli - w ubraniach i butach. Karabin pod głowę, a tatowi kazali być na dworze na warcie i w razie czego, żeby ich szybko obudził. Wyglądało to niezbyt zachęcająco, kilometr od domu kilkunastu uzbrojonych Niemców, a u nas jedenastu, też dobrze uzbrojonych, partyzantów. Przez całą noc, przez kolonię chodziło dwóch wartowników. Tato stanął sobie w ukryciu i nadśluchiwał każdego szmeru, jak zając podczas polowania. W pewnej chwili usłyszał idących wartowników. Przeszli do końca naszego ogrodu, zajrzeli w tą poprzeczną drogę i zawrócili. Postali dość długą chwilę koło naszego płotu. Po cichu coś rozmawiali, ale było za daleko żeby coś usłyszeć. Pozapalali papierosy i poszli z powrotem na wieś. Tato odetchnął z ulgą, a że już było sporo po północy, to raczej było pewne, że więcej się nie pojawią. Partyzanci kazali się obudzić nad ranem, więc tato jeszcze trochę powartował i cicho ich obudził. Szybko powstawali, otrząsnęli się ze snu i ze słomy, podziękowali i wyszli. Tato

jeszcze wyjrzał ukradkiem na drogę, czy czasami wartownicy nie idą, nikogo nie było, więc spokojnie wyszli, ale nie na drogę tylko w pole, miedzą, aby przypadkowo nie spotkać się z kimś na drodze. Tato położył się jeszcze trochę przespać i na ósmą musiał iść do pracy. Była to noc bardzo nerwowa.

W kilka dni po tej masakrze na Łubczu, Ukraińcy znowu napadli na polską wioskę Chodywańce. Ta wieś była bardzo blisko osady. Miejsca urzędowania Grubego. Koło urzędu gminy, a zarazem koło urzędu i mieszkania Grubego noc w noc stał wartownik, żandarm i furman ze stójki. Po tym wydarzeniu w Łubczu, woźnica z bryczki Grubego też musiał spać w stajni z końmi, w ubraniu, gotowy na każde zawołanie. Do tej wsi Chodywańce było 2 km od osady. Nad ranem, już prawie świtało, wartownik usłyszał strzały w tamtym kierunku i zaraz pojawił się pierwszy pożar. Wartownik natychmiast obudził Grubego, on też spał w mundurze. Obudził też woźnicę i pozostałych żandarmów. Tak szybko jak tylko mogli załadowali się na furmanki. Zabrali ze sobą broń, jaką mieli - empiki, karabiny ręczne, skrzynkę granatów i dużo amunicji. Gruby miał karabin maszynowy, niby ręczny, ale amunicja była podawana z taśmy, bardzo lekki, ale bardzo sprawny - opowiadał woźnica. Gruby dał nawet karabin swojemu woźnicy i pas z ładownicami i powiedział mu: „Masz dobrze bronić mnie i siebie”. W sumie pojechali: Gruby, sześciu żandarmów i dwóch furmanów. Po drodze doładowali amunicję, popowieszali sobie granaty i bardzo szybko znaleźli się pod wioską. Niemcy nie mieli żadnego rozeznania ani ilu jest napastników, ani jaką broń dysponują i jak są daleko. Więc Niemcy za blisko podjechali. Ukraińcy wnet ich zauważyli i zaczęli do nich strzelać. Niemcy natychmiast zeskoczyli z furmanek na ziemię i zaczęli się odstrzeliwać. Od tych pierwszych strzałów jeden z furmanów zginął na miejscu, także oba konie z bryczki Grubego padły. Drugi furman udał, że spadł z wozu, jednak świadomie wpadł między konie na dyszel (to taki długo drąg drewniany, który znajdował się między końmi, na sztywno przymocowany do wozu, i konie za pomocą tego dyszla sterowały wozem). Furman padając między konie, chwycił się rękami za uprzęż obu koni, nogi założył za postronki (to takie grube linki sznurkowe, za które konie ciągną wóz) sterując końmi zawrócił w powrotnym kierunku i to tak wyglądało, jakby konie same uciekały bez furmana. Ukraińcy byli raczej przekonani, że ten drugi furman też zginął i do tych samych koni nie strzelali. Chociaż Niemcy byli w trudnej sytuacji to wieś już na tym wiele skorzystała, gdyż Ukraińcy odstąpili od mordowania ludzi i podpalania domów. Całe siły skierowali na Niemców. Zginęło tylko kilka osób z tej wioski. Ta wioska, od strony osady skąd Niemcy przyjechali, była otoczona łąkami torfowymi, było dużo starych wykopów, ale mury były całe. Niemcy byli przecież dobrze wyszkoleni do zadań bojowych, czołgając się weszli w te torfowiska, to dawało im jakąś osłonę. Potem kolejno się ubezpieczali. Gruby ze swej maszyny ubezpieczał żandarmów, którzy posuwali się w kierunku tych murów. Potem żandarmi ubezpieczali Grubego, który czołgał się ze skrzynką amunicji i swoją maszynką. I tak kolejno dotarli do muru. Wewnątrz było gruzowisko, ale mury były bezpieczne i przez otwory można było się chronić. Ukraińcy nie byli ani dobrze zorganizowani, ani dobrze wyszkoleni, raczej byli nastawieni na mordowanie bezbronnych ludzi, a nie do walki z dobrze uzbrojonymi żołnierzami. Toteż często bezmyślnie narażali się i bardzo dużo ich zginęło. Napastnicy wpadli w szal, za wszelką cenę starali się okrążyć te mury. Niemcy ponieśli duże straty, zginęło dwóch żandarmów, a jeden złamał nogę. Pod tą gorzelnią były duże piwnice. Ten żandarm nie wiedział o tym. Gruzowisko się osunęło i spadł na schody do tych piwnic. Te schody były naprzeciwko otworu wejściowego, więc ten żandarm, choć unieruchomiony skutecznie bronił tego otworu. Kto się pojawił tego powstrzymywał w taki czy inny sposób. W pewnym momencie, sam dowódca tej ukraińskiej hałastry podczołgał się pod okno, z którego Gruby zadał im najwięcej strat w ludziach strzelając z tej swojej sprawnej maszyny, i wrzucił granat do środka. Gruby był jednak i na taką ewentualność przygotowany. Chwycił ten granat i wyrzucił z powrotem. Ten, który wrzucił ten granat, chyba był przekonany, że ten

granat zlikwiduje tę śmiertcionośną maszynę. Nie schronił się, a raczej odskoczył od otworu i w tym momencie granat wybuchł prawie na nim. Zginął na miejscu bardzo rozszarpany przez ten granat. Napastnicy widząc, że ich dowódca tak tragicznie zginął, w kilkunastu bezmyślnie podbiegło do niego. Gruby wykorzystał ten moment. Wystawił lufę swej magicznej maszynki, oddał kilka serii i zlikwidował jeszcze kilku Ukraińców. Dopiero wtedy napastnicy się zorientowali, jak głupio i nieostrożnie się zachowują. Ubezpieczając się wycofali się, po prostu zrezygnowali z dalszej walki i uciekli. Gruby też zorientował się, że już mają mało amunicji, że dalsza walka była ryzykowna. Szybko wycofali się z tych murów w torfowiska, dźwigając ze sobą żandarma ze złamaną nogą, wrócili pieszo do osady. Wszyscy ludzie z tej wioski uciekli, licząc się z tym, że bulbowcy mogą jeszcze wrócić. Niektórzy wsiowi obserwowali co się we wsi dzieje i potem opowiadali, że Ukraińcy przyjechali z furmankami, z obstawą dużego oddziału i zabrali swoich pobitych na kilka furmanek. Bardzo dużo ich w tej bitwie zginęło. Tak, czy inaczej Gruby uratował polską wioskę, zginęło tylko kilka osób, a mogło zginąć kilkadziesiąt. To był ostatni napad w naszych stronach. Może za dużo rozpisałem się o tym wydarzeniu, ale to była walka być może i o nasze życie.

Co działo się w tym czasie u nas w domu? To był już czas wiosenny, rodzice wstawali bardzo rano, tato chciał jeszcze przed pójściem do pracy, zrobić coś w ogrodzie. Mama zawsze robiła tatowi gotowane śniadanie, bo na obiad brał tylko kanapkę do pracy. Prawdziwy obiad był dopiero późno po pracy. Koło gminy stał duży gong alarmowy z młotkiem na łańcuchu. W razie pożaru czy jakiegokolwiek niebezpieczeństwa wartownik czy ktokolwiek inny uderzał młotem w ten gong alarmując okolicę. Kiedy zauważono pożar w Chodywańcach i strzały natychmiast gong się odezwał. U nas też było go słychać. Rodzice zaraz zwrócili uwagę, że za Jarczowem się pali i strzały też było słychać. Można było z góry przypuszczać, że to znowu napad bulbowców. Mama nas zaraz obudziła, ubrała, a tato zaraz poszedł do pracy, a właściwie nie tyle do pracy, tylko w ogóle zobaczyć co się tam dzieje. Nasi Volksdeutsche wyszli na wieś z karabinami. Też bali się o swoją skórę. Tato zaszedł na placówkę, i okazało się, że nie ma ani Grubego, ani żandarmów. Ktoś tatowi powiedział, że Ukraińcy napadli na Chodywańce i Gruby z żandarmami pojechali chronić tej wsi. Tato pomyślał, że to chyba ten moment, na który czekał, okazja do ucieczki. Szybko wrócił do domu. Mnie wysłali na Rudkę do braterstwa Grzesików po furmankę. Pobiegłem, jak na skrzydłach, wpadłem tam zasapany i wystraszony. Powiedziałem w czym rzecz. Oni już wiedzieli, że w Chodywańcach jest akcja. W Rudce była duża grupa partyzantów AK, ale nie mogli iść na ratunek, bo u nas byli Niemcy. Brat Grzesik szybko zaprzęgnął konia do wozu, sam nie chciał jechać, wiedział, że ja umiem powozić koniem, więc kazał mi siadać na wóz i pojechałem. Bądź, co bądź to było ponad 5 km, więc zajęło mi to sporo czasu zanim wróciłem z powrotem. Natychmiast załadowali na wóz to, co było niezbędne, a możliwe, do wzięcia. Ja wzięłem krowę za sznurek i znowu opuściliśmy nasz dom. To było bardzo przykre, ale konieczne gdyż ratowało życie taty, a być może nas wszystkich. Takim sposobem uciekliśmy Grubemu.

Noc przenocowaliśmy u braterstwa Grzesików, rano przyszła i tam informacja, że od napadu są zagrożone Rudka albo Przeorsk. Potem okazało się, że to był fałszywy alarm. Więc my pojechaliśmy tą załadowaną furmanką do Łosińca. Tato wcześniej którejś niedzieli był na zebraniu w Łosińcu, powiedział braciom jaka jest sytuacja, że w razie czego chcielibyśmy się ukryć w Łosińcu. Bracia wyrazili zgodę, a brat Mikuła Michałko, ten co pracował u nas przy budowie domu wraz z czterema innymi Michałami, zaproponował, że możemy w razie potrzeby do niego przybyć na kwaterę. Na wozie mieliśmy stary rower, ale na chodzie, więc niedaleko Łosińca, wsiadłem na rower i pojechałem szybciej do braterstwa Mikółów, żeby ich powiadomić, że jedziemy z całą rodziną. Po przyjeździe chciano nam odstąpić jeden pokój, ale mama prosiła, że wolałaby się ulokować w stodole. Było już ciepło, szło do lata, więc oni się na to zgodzili. W kuchni, gotowali razem, w polu pracowali razem, a wolny czas

spędzaliśmy więcej w stodole. Dobrze się też spało w stodole na słomie. Mama nie lubiła takiej całodobowej wspólnoty i tak nam było dobrze. Krowę było gdzie paść, w oborze też było dosyć miejsca, więc nie było żadnego problemu. Ci braterstwo byli narodowości Ukraińskiej. Mieli dwóch synów i trzy córki. Córki chodziły na zebrania, a synowie jak dorośli, przestali chodzić, żyli sobie po światowemu. Najstarszy syn Stiopa (Stefan) prawdopodobnie należał do jakiejś Ukraińskiej organizacji toteż Polacy bardzo krzywo patrzyli na miejscowych Ukraińców. A było ich w Łosińcu kilkanaście rodzin. Pewnego razu przeżyliśmy bardzo przykre wydarzenie. Przyszli w nocy polscy partyzanci i zabrali dwie krowy naszym gospodarzom. Nasza krowa stała w oborze zaraz z brzegu, to ją zostawili, a ich krowy wzięli. Byliśmy w bardzo niezręcznej sytuacji. Jak z tego wynika to partyzanci dobrze wiedzieli, która krowa jest nasza i ją zostawili. Tato miał dobrze znajomego dowódcę jakiegoś oddziału partyzanckiego, to był człowiek z Łosińca. Tato często z nim rozmawiał. Poszedł do niego z prośbą, żeby tego nie robili, że to są dobrzy ludzie i żeby choć jedną krowę oddali. Ten nakrzyczał na tatę, że owszem Michałki to może i dobrzy ludzie, ale Stiopa należy do ukraińskiej organizacji i dodał: „powiedz im, że mają szczęście, że wy tam mieszkacie, bo byśmy im większą krzywdę wyrządzili. A Stiopa niech uważa co robi, bo inaczej go zlikwidujemy. A ty daj sobie spokój. Tobie się żadna krzywda nie stanie.”

Powróć teraz do Jarczowa, do Grubego. Kiedy powrócił z tej akcji, na drugi dzień przyszedł zobaczyć czy tato jest w pracy. Kiedy zobaczył, że drzwi są otwarte, a taty nie ma i żadna robota nie ruszona, szybko wsiadł na furmankę i pojechał do naszego domu. Dom zastał pusty, nawet nie zamknięty, więc domyślił się, że uciekliśmy. Gruby nakazał Volksdeuchom z naszej kolonii, żeby obserwowali nasz dom, i jakby się ktoś pojawił to mieli aresztować. Dlatego tato nie mógł się nigdzie blisko pojawić. Gruby nawet jeździł co czwartek na targ do Tomaszowa, rozglądał się po całym targowisku, że może tatę spotka. Tato jednak się nie pokazywał. Gruby powiedział do tego furera z Korhyń, że jak gdziekolwiek tatę spotka to zastrzeli na miejscu. Furer zaraz powiedział to stryjowi, a stryj ostrzegł tatę, tak że wiedzieliśmy co się święci. Gruby był bardzo wściekły, bo tato zostawił mu dość dużą partię skór, i to się wszystko zepsuło. Właściwie to naprawdę miał czemu się złościć. Jednak do spotkania taty z grubym na szczęście nigdy nie doszło.

W Łosińcu tato nie miał co robić, a był człowiekiem, który bez pracy nie mógł długo wytrzymać, więc i tutaj wziął się za garbowanie skór, bo to i parę złotych trzeba było i czas szybciej mijał. Jak już wcześniej wspomniałem, niedaleko Łosińca, około 3 km przebiegała linia kolejowa Warszawa- Lwów. Tę linię i w tych okolicach partyzanci najbardziej sabotowali, wysadzali pociągi, niszczyli tory itd. Toteż Niemcy rozlokowali na dość długim odcinku, wojsko dla ochrony tej linii kolejowej. Jedni żołnierze pilnowali torów, a inni włóczyli się po sąsiednich wioskach, szukając nie wiadomo czego. Pewnego dnia, tato robił przy skórach, a mnie kazał się bawić z dziećmi na ulicy i obserwować, jakby się pojawili Niemcy, żeby dać mu znać, żeby skrył robotę. To wojsko było z wermachtu i takie sprawy ich nie interesowały. Sprawdzało się jednak stare przysłowie: „Na złodzieju czapka gore”- tak było i z tatą, wołał, żeby go nikt nie widział.

W związku z tym, wydarzyło się coś, czego nie można nie opisać. To wydarzenie zaliczam do jednego z cięższych przeżyć strachu, tym bardziej, że brałem w tym bezpośredni i pełny udział. A było to tak: Bawiąc się na ulicy, zauważyłem, że idzie dwóch Niemców, ale zauważyłem dość późno, żeby spokojnie dać znać tatowi. Skoczyłem więc, jak szalony przez furtkę na podwórko. Niemiec to zauważył i pobiegł za mną, a drugi został przy furtce na ulicy. Tato nie zdążył już skryć roboty, i Niemiec zastał tatę z surową skórą na warsztacie. Niemiec nie zorientował się w ogóle, co tato robił. Myślał, że tato zabił cielaka i chciał mięsa z tego cielaka. Ten Niemiec mówił taką gwarą, że w ogóle nie można było nic zrozumieć. Do tej rozmowy dołączyła mama i gospodyni, nie można się było jednak nic dogadać. Gospodyni zaproponowała, że zawoła kobietę, która dobrze mówi po niemiecku. Mama skleciła kilka



wyrazów po niemiecku, że zaraz przyjdzie kobieta, która mówi po niemiecku, on to zrozumiał i zgodził się. Naprzeciwko naszej zagrody, po drugiej stronie ulicy była szkoła, bardzo blisko, może 200m. W tej szkole mieszkało małżeństwo, nauczyciele, ta pani dobrze mówiła po niemiecku. (Przyjaźnili się z braćmi.) Gospodyni pobiegła do niej i poprosiła, żeby przyszła za tłumacza. Pani chętnie się zgodziła i szybko przyszła na nasze podwórko, podeszła do Niemca, powiedziała po niemiecku „dzień dobry”, podała mu rękę, a on się bardzo zmieszał. Przełożył pistolet z prawej ręki do lewej i podał tej pani rękę, ona podała mu swoje nazwisko i śmiało dodała: „o co chodzi? Ja będę tłumaczyć.” Tym sposobem jakby zyskała sobie pewne zaufanie u Niemca. Niemiec powiedział: „On (wskazując na tatę) zabił ciebie, a ja chce trochę mięsa.” Ta pani wiedziała, że tato robi skóry i zaraz się zorientowała w czym rzecz. Powiedziała do mamy i gospodyni: „Chyba macie jakieś mięso? Dajcie mu trochę może sobie pójdzie.” Kobiety powiedziały, że jest mięso, ale starsze i zasolone, powiedziała: „to nie ważne, on się nie pozna”. Przetłumaczyła Niemcowi, że kobiety zrozumiały i zaraz mu zapakują. Mama z gospodynią poszły po to mięso, a nauczycielka zagadnęła go, skąd pochodzi, bo jego mowa jest trochę inna. Powiedział jej, że jest aż z Mongolii, z przedwojennej kolonii niemieckiej. Kiedy wkroczyli tam Niemcy to wszystkich mężczyzn zabrali do wojska.

Teraz dopiero zaczęło się to najgorsze. Niemiec wziął tę panią pod jej prawą rękę, w swojej prawej całej czas trzymał pistolet i powiedział, że chciałby obejrzeć tę zagrodę. Zajrzał do obory, potem do stodoły i w końcu chciał wyjść za stodołę. W międzyczasie pani spojrzała ukradkiem na mnie znacząco i lekkim ruchem głowy pokazała, żeby iść za nimi. Zrozumiałem i takim chłopięcym ruchem szedłem za nimi. Kiedy wyszli za stodołę, poszedłem za nimi. Za stodołą był mały ogródek. Kilka drzew owocowych, krzewów porzeczki, agrestu. Ogródek ogrodzony był płotem z drewnianych sztachetek. Wewnątrz tego ogrodu, stał stożek słomy przylegający jednym bokiem szczelnie do płotu. Wewnątrz tego stożka była wydrążona wnęka, takie gniazdo do spania na dwie, trzy osoby. Trzy sztachety były luźno zawieszane na gwoździach tak, że można było je odchylić, wejść do środka i zasłonić z powrotem. Niemiec był na tyle spostrzegawczy, że zauważył otwór w tej słomie za sztachetami. Wziął ręką za sztachety, a one lekko dały się odchylić, więc Niemiec krzyknął: „Co to jest?” Pani obróciła się do mnie, on też chyba dopiero wtedy mnie zauważył, że idę za nimi i zapytał mnie, co to jest. Ja wiedziałem o tej kryjówce, ale nie wiedziałem co w niej jest. Odpowiedziałem: „Sańka i Stachu śpią w tej kryjówce, bo boją się bandytów.” Tak Niemcy nazywali partyzantów. Pani mu przetłumaczyła, że często w nocy przychodzą i zabierają młodych do lasu. Pokiwał głową i skinął na mnie: „Włóż do środka i wyrzuć wszystko co tam jest.” Spojrzałem na panią, ona okiem dała mi znać, żeby wejść. Wszedłem, i tam zdrętwiałem ze strachu, stałem się prawie bezsilny. Otwór był mały, z zewnątrz nie było nic widać, było ciemno, ale wewnątrz można było co nieco zobaczyć. Okazało się że było tam dwie poduszki i pierzyna. Oprócz tego był karabin i puszka od gaz maski z nabojami. I to mnie najbardziej przeraziło. Moment się zastanawiałem, co mam zrobić. A Niemiec zawołał: „No co jest? Wyrzucaj!” Ja się odezwałem: „Tu jest ciemno i muszę się rozpatrzeć” i nagle oprzytomniałem, że jak ma baterijkę i sam zajrzy z baterijką to jesteśmy skończeni, więc szybko wyrzuciłem jedną poduszkę, potem drugą. W międzyczasie karabin wepchnąłem z całych sił w słomę. Następnie zacząłem mocować się z pierzyną, udając, że jest duża i nie chce się zmieścić w otwór. W rzeczywistości to zatkałem szczelnie otwór, bo z tą puszką to był problem. Puszka metalowa i naboje będą stukać, jak ją ruszę, czy jak zechcę wysypać. A tu nie było ani chwili do stracenia, Niemiec zaniepokojony czekał. Szybko, dwoma ruchami prawej ręki wygrzebałem głęboki dołek w słomie, a lewą ręką niby to wypychałem pierzynę. Wreszcie powiedziałem: „Chwileczkę, muszę rozłożyć pierzynę, bo inaczej się nie zmieści. A sam w mgnieniu oka przycisnąłem tę puszkę do słomy, otworzyłem ją, włożyłem rękę do puszki przygniatając naboje, żeby nie rzęgotały, przewróciłem do góry dnem i cichutko wraz

z opuszczaniem ręki naboje wysypały się w ten dołek w słomę. Następnie szybko rozciągnąłem pierzynę, podałem na zewnątrz jeden koniec i poprosiłem, żeby pomogli wyciągnąć. Pani zaraz złapała za pierzynę i bez większego problemu wydostała na zewnątrz, pusta puszką też wyleciała. Ja w między czasie jeszcze trochę zamaskowałem ten karabin i ten dołek z amunicją, i za pierzyną wyszedłem. Spocony byłem, aż mi pot spływał po policzkach. Ten pot był i ze strachu i z pośpiechu. Niemiec najpierw podniósł puszkę, otworzył zajrzał do środka i rzucił. Potem z baterijką wsunął głowę do otworu, baterijką poświecił i zobaczył ugniecione legowisko i nic więcej. Kazał z powrotem włożyć tę pościel. Włożyłem, a on zasunął na miejsce sztachety i powiedział: „Bardzo pomyslowe, tylko trzeba bardziej zasłonić otwór słomą, żeby nie było widać.” Ja wycierałem rękawem pot, udawałem jakby nigdy nic, głośno zrobiłem: „uff, jak tam gorąco” a właściwie to byłem bardzo blady i wystraszony.

Wyszliśmy z powrotem na podwórko. Nauczycielka bez przerwy Niemcowi szwargotała i nie dała mu dojść do słowa tak, że przeszliśmy przez podwórko i Niemiec zapomniał o mięsie. Wyszli na ulicę do tego żołnierza, co stał przy bramce, Mongoł zasalutował i obaj poszli na drugi koniec wsi. A pani poszła do swojego domu. Po chwili, wróciła jednak, zawołała mnie i zapytała: „Co tam było, że tak powoli się grzebałeś i byłeś taki wystraszony?” Opuściłem oczy i powiedziałem, że wolałbym nie mówić o tym. W domu też jeszcze nic nie mówiłem. Ona się jednak uparła, że chce wiedzieć, co to było i jakim do było dla nas zagrożeniem. W końcu jej powiedziałem, że był tam karabin i naboje i że to schowałem w słomę. Wtenczas pani przytuliła mnie i powiedziała: „Mieliśmy szczęście, dobrze się spisałeś.” A ja wtedy bardzo się rozplakałem. Tego wydarzenia nie zapomnę. Przepraszono panią za to, że wciągnęliśmy ją w takie nieprzyjemności, ale ona powiedziała, że to wszystko nieważne, ważne jest to, że tak się skończyło, bo mogło być gorzej.

Na froncie sytuacja Niemców była coraz gorsza, ruscy zdecydowanie szli do przodu. Partyzanci też niesamowicie Niemcom dokuczali, toteż Niemcy byli coraz bardziej źli i niebezpieczni dla polskiej ludności. Wreszcie Niemcy postanowili zlikwidować oddziały partyzanckie w tym rejonie. Użyli do tego wojsk frontowych, samolotów i ciężkiego sprzętu, w tej walce bardzo dużo partyzantów zginęło. W tak zwanych „lasach janowskich” we wsi Osucha, jest bardzo duży cmentarz partyzancki, wszystkich poległych w tej walce. Pewnego wieczoru obserwowaliśmy duży nalot na Lwów. Ponad 100 km od nas. Front był coraz bliżej, już wiadomo było, że niedługo u nas też coś się zacznie dziać, wraz z frontem wszystkiego można było się spodziewać. Z drugiej strony wiadomo też było, że zacznie się inny rozdział historii, tylko pytanie jaki? Około 15 km na wschód od Łosińca była większa stacja kolejowa-Bełżec. Miejscowość ta znana jest historii z miejsca kaźni Żydów, było tam krematorium. To właśnie tu pewnego razu, przyjechał transport Żydów i zorientowali się, że przyjechali na zatracenie. Pewna młoda Żydówka, na cały głos zawołała: „Jezusie Nazareński, synu Dawida to nie my ciebie ukrzyżowaliśmy, tylko ojcowie nasi, dlatego my musimy tak cierpieć.” Ktoś usłyszał te słowa i przekazał, potem cała okolica te słowa znała i powtarzała. ( To tak na marginesie.)

Pewnej nocy do Bełżca wjechał pociąg towarowy. Bardzo długi skład i bardzo ciężko załadowany. Prowadziło go trzy lokomotywy. W Bełżcu koło stacji był bardzo duży skład z amunicją różnego kalibru. Ten pociąg, też był załadowany amunicją różnego typu, a w dwóch pierwszych wagonach były bomby lotnicze z gazem bojowym. Do tej pory Niemcy jeszcze nigdzie nie użyli gazu, bo wiadomo, gaz działa w dwie strony. W zależności od kaprysu wiatru. Teraz widocznie zdecydowali się go użyć, kiedy go wieźli do frontu, jednak go nie dowieźli. Ruski samolot, bez żadnych znaków rozpoznawczych, wysledził ten pociąg i poczęstował go jedną gruszką w ostatni wagon i spowodował straszny wybuch. Następne wagony kolejno wybuchały, ale że był to bardzo długi skład, to bardzo długo trwało. Widok był zastraszający, jakby jakiś potężny wulkan wyrzucał w górę kłęby czarnego dymu i ognia i

kawałki żelaza z wagonów. Ktoś jednak wiedział, może z konwojentów, że dwa wagony z przodu są z bombami gazowymi, i powiadomił kolejarzy na stacji i wojsko stacjonujące w Bełzcu. Natychmiast zajęto się ewakuacją ludności na odległość 5 km od tego nieszczęsnego miejsca. Kolejarze zdążyli jednak odpiąć te dwa wagony, a ponieważ nie było lokomotywy i nie było już czasu ani możliwości ją podstawić, więc kolejarze znanym im sposobem, mocnymi stalowymi brechami, zruszyli wagony z miejsca i coraz szybciej odtoczyli wagony od składu. Tory w tym kierunku, choć minimalnie, ale opadały w dół więc wagony dalej same potoczyły się nawet parę kilometrów od stacji. Takim sposobem najgorsze zagrożenie zostało zlikwidowane. Co się tam dalej działo, to jest nie do opisanego. Kiedy wybuchy dotarły do tego składu z amunicją to nastąpiło istne piekło, albo koniec świata.

W powietrzu fruwały fragmenty wagonów i były rozrzucone na duże odległości. W Łosińcu, chociaż to było kilkanaście km było słychać i widać, jakby to się działo zaraz za górką. Obserwowaliśmy to, ale nie wiedzieliśmy, co się dzieje, aż strach był na to patrzeć. Jednak w tak strasznych warunkach zginęło tylko dwie osoby cywilne i dwóch niemieckich żołnierzy, to wprost nie do wiary. Po tych wydarzeniach w Bełzcu front bardzo szybko się przybliżył. Atmosfera we wsi bardzo się pogorszyła, w Łosińcu było dużo rodzin ukraińskich, liczyli na to, że jak przyjdą ruskie, to będą mieli większe poparcie. Między sąsiadami polsko-ukraińskimi, którzy do tej pory żyli w zupełnej zgodzie, teraz zaczęły się różne niesnaski. W ugrupowaniach partyzanckich też dochodziło do poważnych podziałów. AK przygotowywała się do przejęcia władzy, AL liczyło na poparcie ruskich i że oni przejmą władzę, dzieli skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu. Dochodziło nawet do krwawych incydentów. Na szczęście, nie dotyczyło to braci ani w ukraińsko-polskich, ani partyzanckich sporach.

My też przygotowywaliśmy się do powrotu na stare śmieci. Wreszcie zaczęło się pojawiać coraz więcej wojska wycofującego się. Do Łosińca w nocy wjechał duży oddział wojska. Koło naszego podwórka, zaraz za płotem postawili wojskową kuchnię polową. Obok pod ścianą obory, było ułożone porąbane drewno na opał do kuchni. Kucharz odbił część płotu, zrobił przejście do tego drzewa i brał sobie suche drewno do swojej kuchni. Zaraz rano przyprowadzili, nie wiem od kogo, dużą jałowkę, sporządzili ją i zużyli na obiad. Pamiętam, że z mięsa zrobili bardzo smaczny gulasz, po obiedzie zostało im trochę tego gulaszu, kucharz zawołał którąś z naszych gosposi, kazał przynieść jakieś naczynie i dał sporo tego gulaszu i powiedział, że to za to suche drzewo, na którym tak szybko obiad ugotowali. Ten kucharz już dużo mówił po polsku. Wcześniej dał też naszym gosposiom stópkę i głowę z tej jałowki i mama ugotowała smaczny galat. Rano, jak wstaliśmy wojska już nie było, nie wiadomo kiedy się wycofali. Około południa pojawili się ruscy zwiadowcy, pytali jak daleko są Niemcy. Tak więc front przeszedł bez strzelaniny, spokojnie, bez strachu.

W tym miejscu, pamięć mnie całkowicie zawiodła.

W ogóle nie pamiętam jakim sposobem wróciliśmy do Jarczowa. Kto nas zawiózł. Nic z tego momentu nie pamiętam. Pamiętam tylko, że jak wróciliśmy do domu to dom nasz znaleźliśmy bardzo zdewastowany. Okna i drzwi były zabrane, po prostu zostały tylko ściany i dach. Nawet płyty z kuchni i drzwiczki były zabrane, tak że nie można było zamieszkać. Zamieszkaliśmy chwilowo w sąsiedzkim domu, który nie był tak zniszczony, bo sąsiedzi uciekli przed samym frontem. Myśmy uciekli kilka miesięcy wcześniej, to ludzie mieli czas nasz dom rozszabrować. Sąsiedzi wrócili późno, tak, że dość długo tam mieszkaliśmy. Tatowi długo zeszło doprowadzić dom do jakiejś takiej używalności. Ten schowek, o którym wcześniej wspominałem, ktoś odkopał i wszystko zostało zabrane. Literatura została podarta w strzępy i rozrzucona po podwórzu, po ogrodzie, a wiatr poroznosił po polach. Tomy zostały widać celowo całkowicie zniszczone. Kartki wydarte, tylko okładki tu i tam można było spotkać. Jedynie trochę zboża było zakopane na dworze to to się zostało. Późną jesienią już było dość zimno, przyszło do gminy kilku ruskich żołnierzy i pozbierali takich młodzików, jak ja i starszych i poprowadzili nas właśnie do Bełzca, na cały tydzień, do porządkowania

tego opisanego wcześniej, nietypowego wulkanu. Ruskim nie chodziło o uporządkowanie terenu, ale o złom, którego tam było tysiące ton, a który u ruskich był wtedy na wagę złota, potrzebny do bieżącej produkcji broni, ponieważ wojna się jeszcze nie skończyła.

Dlatego właśnie miałem pełne rozeznanie tego wydarzenia w Bełzcu i mogłem je opisać. Doprowadziliśmy do tego, że jeden tor został położony i ruscy mogli już wywozić złom i dowozić potrzebne zapasy na front. Po wyzwoleniu tej części Polski, zdarzało się bardzo dużo i bardzo przykrych incydentów w tej przepychance o władzę. Nie będę opisywał tego, gdyż czytałem na ten temat kilka opisów różnych autorów i każdy z nich różnił się w wielu szczegółach. Jak opisywał akowiec to widział to po swojemu, jak opisywał alowiec to widział inaczej. A jak pisał ktoś bezstronny, to pisał zupełnie inaczej. Dlatego nie chcę nikogo wprowadzać w błąd chociaż mam na ten temat swoje zdanie. Mogę tylko powiedzieć tyle, że historia w ogóle jest tak zagmatwana, że trudno byłoby szukać prawdziwej historii, a gdyby nawet to i tak niczego nie zmieni.

W Jarczowie już od września 1944r. stworzono szkołę dla młodych dzieci, a w 1945r. na wiosnę, zorganizowano kurs dokształcający dla tej młodzieży, która powinna już skończyć podstawówkę, ale podczas okupacji to się nie udało. Oczywiście zaraz się zapisałem na ten kurs i po trzech miesiącach intensywnych zmaganiach otrzymaliśmy świadectwa ukończenia szkoły siedmioklasowej. Nie ważne było, czego się tam nauczyliśmy, ale świadectwo przydało się w życiu wielokrotnie. Oceny na świadectwie miałem bardzo dobre, tylko z polskiego miałem dostateczne, gdyż z pisownią zawsze byłem na bakier, szczególnie ortografia i gramatyka i to do dziś mi pozostało. Jediną moją dobrą stroną z tej branży, było to, że bardzo lubiłem dużo, dużo czytać. W życiu przeczytałem bardzo dużo dostępnej mi literatury religijnej, ale też przeczytałem mnóstwo książek świeckich o różnej treści i wartościach. I tak chyba do końca życia albo dokąd mi oczy pozwolą nie przestanę dużo czytać.

W lecie w 1945r. wojna się ostatecznie zakończyła. Z naszej bliższej rodziny zginęła tylko jedna osoba, brat taty, który był aresztowany za czasów Grubego i rozstrzelany w Lublinie jako zakładnik. Poza tym wszyscy przeżyli. Wszystko zaczęło wracać do normalności, chociaż nie było lekko i w wielu sprawach trzeba było zaczynać od nowa. W naszej okolicy po wyzwoleniu pozostało bardzo mało koni. Trudno było nająć do pracy w polu, a przecież trzeba było obsiać, żeby coś urosło. To były tereny tylko rolnicze, i należało liczyć tylko i wyłącznie na własne siły i własne środki utrzymania. Toteż tato wpadł na genialny pomysł. Jeżeli w dawnych czasach uprawiano pola wołami, to dlaczego nie można by zaprzęgnąć do tej pracy krów. Woły były zazwyczaj zaprzęgane w jarzma. Jarzma były bardzo niewygodne dla zwierząt, bo w jarzmie zwierzęta ciągnęły łbami. Tato natomiast porobił odpowiednie chomąta na szyje i piersi zwierząt i zwierzę ciągnęło piersiami jak koń. To było o wiele wygodniejsze dla zwierząt i przyjemniejsze dla oka. Okazało się, że to był bardzo dobry pomysł. Choć bardzo powoli, ale zwierzęta przyzwyczyły się do tego i w zupełności zastąpiły konia. Tato postarał się też o sprzęt - pług, brony, kultywator i nawet wóz, i jeździliśmy krowami do lasu po drzewo na opał. Takim to prostym sposobem swoje pole było w porę uprawione, ale bywało też i tak, że sąsiadom tato zaołał kawałek pola. Muszę tu jeszcze dodać, że kiedy krowy były w zaprzęgu to nie pasły się tylko dostawały obrok, jak dla konia, treściwą paszę i to dało podwójną korzyść. Krowy miały więcej siły do pracy i w dodatku przyczyniły dużo mleka o wysokiej zawartości tłuszczu. Mama co tydzień chodziła do miasta, nosiła na targ masło, śmietanę, twaróg, na te produkty był duży popyt, toteż były drogie i mama zawsze ładnego grosza do domu przyniosła. Być może znowu ktoś powie, po co takie drobnostki wspominać, chcę jednak przypomnieć, że życie nie składa się tylko z ważnych wydarzeń, ale w większości ze zwykłej codzienności, która bez przerwy czegoś nas uczy i zmusza do myślenia, do działania i w ten sposób tworzy się historia każdego człowieka, każdej rodziny. Obserwując to właśnie w taki sposób i w takim celu te wspomnienia piszę.

Przed zakończeniem jeszcze trochę pomarudzę. Na wiosnę w 1946r. przypadkowo dowiedziałem się, że w Tomaszowie zorganizowany jest pierwszy kurs na szoferów, jak to dawniej nazywano kierowców, na amatorskie prawo jazdy. Natychmiast zgłosiłem się na ten kurs. Przyjęto mnie choć byłem młody, ale już ukończyłem 16 lat, bo byłem urodzony w styczniu. Można było uczestniczyć od 16 lat wzwyż. Nauka na tym kursie, polegała przede wszystkim na praktycznym zapoznaniu się z budową samochodu, a zwłaszcza silnika i ich pracą. Mieliśmy do dyspozycji wszystkie części różnych silników i podzespoły samochodowe. Musieliśmy wszystko dokładnie poznać, co było możliwe rozebrać i złożyć i poznać jego działanie. Należy wspomnieć, że w tamtych czasach szofer, czyli kierowca, musiał być też sam dla siebie mechanikiem. Dlatego na takim kursie kładziono duży nacisk na praktyczne zapoznanie się z całokształtem tej branży. Teorią objęte były przepisy o ruchu drogowym i znaki drogowe, które na mieście trudno było spotkać. Zapoznaliśmy się z nimi tylko na planszach, no i na placu szkolnym, gdzie były porozstawiane, żebyśmy mogli się z nimi oswoić. Było też ileś godzin jazdy starym fiatem furgonetką. Mnie przede wszystkim interesowała mechaniczna strona tego kursu. I chociaż kurs nie trwał długo, to jednak bardzo dużo się nauczyłem, co było mi pomocne przez całe życie. Kurs ukończyłem, prawo jazdy otrzymałem, trudniej jednak było o samochód.

Moje wspomnienia miały obejmować okres od '39r. do '45r. Jednak tak jak nie mogłem rozpocząć tych wspomnień bez tego krótkiego wstępu sprzed roku 1939, tak też trudno mi zakończyć te wspomnienia bez kilku zdań po roku '45.

Jak widać z opisanego wspomnień, życie nas nie pieściło od samego początku, chociaż były też i bardzo przyjemne chwile. W czasie wojny, życie tym bardziej nie było usłane różami, przez cały okres okupacji same kłopoty, strachy, niepewność jutra itd. Zaraz po wyzwoleniu też było bardzo ciężko wyjść na prostą. Potem życie kolejno przynosiło nam wzloty i upadki, ucząc nas „i uniać się i obfitować”. Jediną pomocą w utrzymywaniu równowagi psychicznej w tych wszystkich sytuacjach była znajomość nauk biblijnych. Dzięki nim mogliśmy zrozumieć boską zasadę, że „wszystkie rzeczy są ku dobremu tym, którzy miłują Boga”. Co pozwoliło nam też zrozumieć, że gdyby mogło być inaczej dla naszego dobra, to na pewno byłoby inaczej. Gdybym chciał opisać chociaż ważniejsze wydarzenia z dalszego całego życia mojego i rodziny, to powstałaby gruba książka. Ale ani mnie na to nie stać, ani nie widzę takiej potrzeby, lecz niektóre fragmenty z życia wspomnę w telegraficznym skrócie.

W roku '46 latem odbyła się pierwsza konwencja po wojnie w Łosińcu, z udziałem brata Johnsona. Miałem przywilej osobiście zamienić kilka słów z bratem Johnsonem. Przytoczę jeden szczegół dotyczący tej konwencji. Konwencja odbyła się w szkole, w tej z której pani nauczycielka była mi za tłumacza z Niemcem. Oddano nam całą szkołę do dyspozycji, nawet to małżeństwo ze szkoły oddali braciom klucze od swojego mieszkania, oddając całe mieszkanie na kwaterę dla brata Johnsona. To była bardzo wspiana konwencja.

W roku '47 na konwencji w Poznaniu przyjąłem symbol chrztu w rzece Warcie. Było jak nad Jordanem. W miarę mojego dorastania pojawiały się też różne doświadczenia, z którymi już sam musiałem sobie radzić, a było ich nie mało. Przyszedł moment, że zostałem powołany do wojska, w wojsku odmówiłem przyjęcia broni i za to skazano mnie na 5 lat pozbawienia wolności. Podczas odbywania kary, przebywałem aż w dziewięciu zakładach karnych. Oczywiście był to okres bardzo przykrych doświadczeń, tak fizycznych, jak i psychicznych. Przy tej okazji poznałem świat od strony najgorszego marginesu społecznego. Wreszcie zostałem przydzielony do kopalni węgla, i chociaż praca była ciężka, ale mi się bardzo podobała. W tym czasie zmarł Stalin, po jego śmierci w Polsce wydano częściową amnestię, więc część wyroku mi darowano. Podczas pracy w kopalni, liczono dzień za dwa, także w sumie zmniejszono mi karę o dwa lata i dokładnie po trzech latach wyszedłem na wolność. Bardzo krótko po tym znowu musiałem pójść do pracy w kopalni, bo znowu groziło

mi wojsko, a kopalnia reklamowała od służby wojskowej. Po krótkim czasie niektóre zarządzenia się zmieniły i już spokojnie mogłem wrócić do domu.

Chociaż czas nie ma początku i końca mieć nie będzie jednak nie stoi w miejscu. Przyszedł więc czas na sprawy matrymonialne, tu były też różne zawirowania. Ostatecznie wziąłem sobie za żonę młodziutką, poświęconą siostrzyczkę Olę z Oliwów z Konina Żagańskiego. Muszę się przyznać bez bicia, ale szczerze, że nasze małżeństwo nie powstało z miłości, a raczej z rozsądku i trochę przekory. Z rozsądku dla tego, że zauważyłem u Oli dużą ocenę dla Boga i prawdy oraz bardzo dużą pokorę, ja z kolei już wtenczas byłem kłębkim zszarpanych nerwów przez różne, często bardzo przykre opisane wyżej przeżycia. Miłość bardzo szybko dołączyła a pokora, uległość i cichość Oli, pomimo mojej porywczosci pozwoliła nam przeżyć razem szczęśliwie ponad 50 lat. Niestety śmierć Oli nas rozłączyła. Taki na razie jest nasz los. Cofnę się nieco w czasie, żeby jeszcze wspomnieć, że ponad dwadzieścia lat temu nadarzyła się okazja, że z Olą przeprowadziliśmy się do Bydgoszczy. Po jakimś czasie pozostała nasza rodzina, w tym też i moi rodzice, też przenieśli się do Bydgoszczy. Właśnie tu w Bydgoszczy zrodził się pomysł napisania tych wspomnień. Tak więc prosiliście o nie, więc je opisałem, osobiście nigdy nie miałem takiego zamiaru.

Na zakończenie, jeszcze kilka luźnych zdań od siebie. Moim wielkim życzeniem byłoby, aby te wspomnienia były czytane, nie tylko jako wspomnienia. Chciałbym, aby one pozwoliły na porównanie, nie aż tak dalekiej przeszłości z terażniejszością. Aby zwrócono uwagę na wiele przejawów Boskiej opatrności w bardzo krytycznych sytuacjach w nich opisanych, jakie przeżyliśmy, i stały się choćby minimalną lekcją na terażniejszy czas. Opis ten na pewno nie jest doskonały w swojej treści, to jest nieuniknione po tylu latach. Tak, czy inaczej wszystkie opisane wydarzenia są prawdziwe, jedynie jedne może są bardziej wyraziście napisane, a inne mniej. Zapewne jest też wiele błędów, ale to przecież nic dziwnego, bo z polskiego miałem dostateczny. Kończąc, życzę przyjemnej lektury, wiem jednak, że w niektórych momentach będzie ona przyjemna, w niektórych śmieszna, a w jeszcze innych przerażająca. Ale cóż na to poradzę, to są prawdziwe wspomnienia...

*Życie to nie bajką jak mówią niektórzy  
Raz świeci słońce, raz bardzo się chmurzy  
Raz płyną łzy szczęścia, radości,  
Czasami płaczesz z cierpienia czy złości  
Życie też różne figle ci płata  
Raz okrzyczy mama, to klapsa da tata  
Czasami pojawia się uśmiech na twarzy  
Gdy ktoś cię jakimś dobrem obdarzy  
Czasami na twarzy się smutek pojawia  
Gdy ktoś jakąś przykrość sprawia  
Życie dobrym jest też nauczycielem  
Bo można w życiu nauczyć się wiele  
Można też piękny charakter wyrobić  
I nim swoje serce pięknie ozdobić  
Można też nie dokonać niczego  
I stracić szansę życia wiecznego,  
bo życie to nie bajką kolego,  
więc dobrze korzystaj z niego.*

*Dziadzio Jerzy*